JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
APTEKA GRABOWSKIEGO
Dział Wysyłki Leków
175, DRAYCOTT AVENUE LONDON S. W. 3
Tel.: KEN 0750
Wysyła wszelkie leki do Polski i innych krajów.
W APTECE GRABOWSKIEGO
DOSTANIESZ WSZYSTKO DLA CHOREGO!

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

KS. DR JAN CZUJ
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego
Papież Grzegorz Wielki
Cena z przesyłką 14/-.
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
VERITAS
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VII. Nr 7/295

LONDYN, 15 LUTEGO 1953 R.

FERDYNAND GOETEL

GÓRALSZCZYZNA

Kiedy byłem młodym jeszcze człowiekiem, nie zadawałem się wiele z góralami. Inaczej moja matka. Ta, w dzień pogodny siadała przed chałupą wynajmowaną przez nas corocznie na Krzeptówkach i czekała aż zatrzyma się przed nią jakiś przechodzący gazda czy gaździna. Największą przyjemność sprawiały jej pogawędki z Bartusiem Obrochtą. Stary a wsławiony już muzykant sunął bowiem codziennie swym tanecznym krokiem mimo naszego domu. Nieraz przysiadał się do matki. O czym mówili, nie wiem, gdyż w głowie miałem wówczas rzeczy „ważne": Marksy, Flamiariony, Weiningery, Ibseny. Muszę tu zaznaczyć, że matka moja nie należała do osób uprawiających programowo „obcowanie z ludem".

— Z nimi to się tak jakoś inaczej, tak prawdziwie rozmawia — usprawiedliwiała się nieco zakłopotana swym zamiłowaniem do przydrożnych gawęd. — Gdy mam jakieś zmartwienie, zaraz mnie odejdzie. Jestem podniecona: uspokoję się. Nikt chyba na świecie nie ma tyle spokoju co oni.

O tym góralskim spokoju można by wiele rozprawiać. Istotę jego poznałem dopiero później, gdy i ja przeszedłem na matczyne podwórko. Ni ja, ni matka moja nie stanowiliśmy wyjątku. Wielu ludzi dojrzałych o tak wysokiej nieraz inteligencji jak Chałubiński, Tetmajer, Witkiewicz, Kasprowicz, Stryjeński znaleźli się na jednej stopie z góralami. Odrębny lud góralski okazał się i w tym wypadku fenomenem w rodzinie polskiego ludu. O góralomanii licznych już potem miejskich snobów nie mówię. Wymieniam przecież tych, co modę tworzyli, a nie tych, co ulegali modzie.

Wysokie koneksje góralszczyzny z ludźmi wielkiej miary stanowiły niezawodnie impuls do powstania owej wielkiej rodziny zakopiańskiej, złożonej z górali i inteligencji, przybywającej do Podhala sporadycznie a częstotliwie lub stale w nim osiadłej. Oczywistość związków, ich zasięg i formy różnorakie zapewniły góralszczyźnie trwałe i ważne miejsce w historii kultury polskiej. Stroną „starającą się" była przy tym stale inteligencja. Górale o względy „panów" nie zabiegali nigdy, równie jak i nie żywili do nich żadnych pretensji. Gniewy krewkiego Czepca, domagającego się zrozumienia chłopskiej sprawy były im zupełnie niezrozumiałe. Czuli się zawsze gospodarzami Podhala. W zetknięciu z cywilizacją, która właściwie zjechała do nich pewnego dnia z całą paradą tanich blasków i pokus i usiłowała przerobić Zakopane na targowisko sezonowych uciech, nie stracili głowy.

Pozostali sobą. Nierówne pozornie szanse przesądzili na swą korzyść. Zdarzyło się, że pierwsi odkrywcy Podhala byli ludźmi wielkiej wnikliwości i niezwykłej miary. Stosunek ich do odkrytego kraju był od razu kapitulacyjny. W książkach Tetmajera i Witkiewicza przewija się rozumowanie przyznające pierwszeństwo góralszczyźnie nad kulturą intelektualną. U Tetmajera dystans pomiędzy góralem a człowiekiem z nizin jest niemal absolutny. Opisane przezeń Tatry i ich mieszkańcy stają się wskutek tego czymś podobnym do baśni mimo, iż bohaterzy Tetmajera, najczęściej mu współcześni, są ludźmi o silnych, krwistych, przyziemnych namiętnościach. Witkiewicz porusza często konflikty moralne delikatniejszej natury i zbliża swe postacie do świata, z którego wyrósł. I w tym jednak wypadku bohaterzy jego są swoiści, odrębni, związani najściślej z otoczeniem. I, co może najistotniejsze, pozbawieni sentymentalizmu właściwego Polakom z nizin.

Czemu przypisać postawę pisarzy? Czy zaczynającym się już zwątpieniom zachodniej myśli w swój własny dorobek kulturalny i w człowieka, którego wyłonił dziewiętnasty wiek? Czy może sugestii narzuconej przez ową dostojną i butną pewność siebie, okazaną przez górali w zetknięciu z nowym światem, któremu nieraz i sprzedawali swój egzotyzm za dobre pieniądze, tym więcej dla niego pogardliwi?

Kiedy Zakopane witało pisarzy Pen Clubu przybyłych na międzynarodowy kongresu do Polski, najlepszą mowę, jaką wypowiedział pod ich adresem nasz „czynnik oficjalny", wygłosił wójt Zakopanego Roj. Spokój, oczywistość jej uderzyły gości z wielkiego świata. Uroda Roja, strój góralski dopełniały wrażenia.

— Czy człowieka tego — zapytał mnie jeden z obecnych gości — można uważać za typowego, jeśli chodzi o polskie włościaństwo?

— Trudno odpowiedzieć — odparłem nieco skłopotany. — Jesteśmy w górach i to bardzo osobliwych na terenie Europy. W każdym razie Roj jest typowym dla ludności tutejszej. Legenda tego kraju żyje w nim i rzuca się w oczy.

Jakąż jednak była legenda góralszczyzny, ta wiecznie żywa? Chałubiński, Tetmajer doszukując się przyczyn, które wykształciły charakter i typ górali, sięgali najczęściej po tradycje zbójnickie i myśliwskie. Postacie stworzone przez nich należały po śmierci Sabały raczej już do świata baśni, skoro zbójnictwo z dawna ustało, myśliwstwo zaś, t. zn. kłusownictwo powściągały ustawy myśliwskie, w Austrii jeszcze łagodne, w Polsce bardzo surowe. Był jednak nurt, w którym mogła się i w nowych warunkach wyżywać góralska pasja walki z niebezpieczeństwem, podjętej w pojedynkę. Mam na myśli zawod przewodników tatrzańskich. Heroiczni, gardzący śmiercią, wierni i oddani towarzyszowi włóczęgi objęli dziedzictwo dawnych bohaterów, a historia ich była kontynuacją dawnej legendy gor.

Zbójnictwo i kłusownictwo przeistoczyło się w przewodniczenie po górach — sposobem prostym i naturalnym, gdyż pierwsi przewodnicy, a zwłaszcza Sabała, należeli za młodu do kłusowniczej braci i, jak chcą niektórzy, parali się jeszcze zbójnictwem. Stąd owa opowieść o dawnych przygodach towarzysząca wszystkim wyprawom Chałubińskiego i Witkiewicza. Stąd noclegowiska w lasach i przy ogniskach. Gdy jednak pierwsze wyprawy w góry nie były zbyt trudne ani niebezpieczne — nie zanotowano przecież żadnych katastrof w tym okresie — to taternictwo ówczesne nazwać by należało podzwonnym po heroicznych dziejach góralszczyzny.

Nowy stan rzeczy wytworzył się jednak rychło, z chwilą gdy romantyczne włóczęgostwo przemieniło się w uparte i zacięte zdobywanie gór, grzbietów i ścian co trudniejszych. Ekskłusownicy i synowie zbójników stali się z powrotem bohaterami i stawiali życie swe na kartę nie gorzej niż ich dziadowie. W czasach mych przewodnicy nie tańczyli już przy ogniskach zbójnickiego. Niektórzy nie chodzili już w kierpcach ani nie wspierali się ciupagami. W zdobywaniu skał byli za to ambitni i niezawodni. W złą chwilę postępowali heroicznie.

Śmierć arcyprzewodnika Klimka Bachledy w Jaworowym Wierchu żyje jeszcze w pamięci starszego pokolenia taterników. Dla mnie, który byłem świadkiem dramatu niesienia pomocy zawieruszonego w ścianie i dogorywającego studenta Szulakiewicza, zdarzenie to było najbardziej patetycznym epizodem mego życia. Była to iście wspaniała karta w dziejach góralszczyzny i jej wielkich starych tradycji. Skoro bowiem Klimek już leżał rozstrzaskany dosłownie u stóp Jaworowego, drugi i tym razem zwycięski atak na groźny ucios podjął Wojciech Suleja Tylko, również przewodnik wielkiej rangi.

Patos wypadku w Jaworowym Wierchu był oczywisty, niemal oślepiający w swej prostocie. Zdarzały się jednak rzeczy bardziej zawiłe, tym bardziej ciekawe, że już — nie w romantycznej erze sprzed tamtej wojny, ale między wojnami. O dwu opowiem.

Grasował po Zakopanem, a zwłaszcza po Krupówkach, stary przewodnik Daniel Gąsienica. Przez piersi miał przewieszoną linę, przynętę dla naiwnych wycieczkowiczów, którym się marzyły jakieś trudniejsze przejścia. Daniel, pijak notoryczny, był ponadto blagierem pełnym swady i opowiadał bez zająknienia bajdy o ścianach i graniach, na których nigdy nie był. Uchodził za zakałę przewodników i nieraz debatowano, że pora odebrać mu „blachę" przewodnicką. Skoro jednak ciągał swych gości na lince po przejściach dobrze wydeptanych, dano spokój staremu. Otóż jednego dnia wiosennego, gdy w Tatrach leżały jeszcze śniegi, powiódł przygodnego nowicjusza przez Zawrat do Morskiego Oka. Przez przełęcz przegramolili się szczęśliwie, okrążyli zmarzłe jeszcze stawy i przed podjęciem ostatniego etapu drogi na Świstówkę zboczyli ku wodospadowi Siklawy, który wówczas na rozpoczętym roztopie wiosennym huczał wielkimi wodami. Próg prowadzący ku Siklawie jest jak wiadomo stromy. Na wiosnę ponadto zalodzony. Daniel ześliznął się u góry progu i poleciał po uciosach w dół. Rzucony w burzliwy strumień, przysiadł nieruchomo na jakimś głazie, po pas w wodzie. Od tej chwili zaczyna się wielka karta Daniela. Bo oto odwrócił się i spokojnymi doradami kierował krokami podążającego ku niemu towarzysza. Zapytany, w czym mu dopomóc, poprosił o „siarniki" do zapalenia fajki, gdyż własne mu zamokły. Następnie wytłumaczył wycieczkowiczowi, żeby nie szedł już na Świstówkę a podążył doliną Roztoki ku gościńcowi. Sam pozostał w strumieniu z fajką w zębach, a kiedy przybiegli do niego ratownicy z Morskiego Oka, już nie żył, wciąż siedząc nieruchomo w burzliwej wodzie.

Inaczej było z Józkiem Ciaptakiem. Chłop dorodny a groźny, o twarzy surowej, miał jedno wspólne z Danielem, że pijał również wiele. Bajać jednak nie lubiał. W górach był przewodnikiem znakomitym, po Bachledzie i Marusarzu najlepszym ze starszej generacji. Uważny, spokojny i przyjazny dla towarzysza wyprawy, w życiu codziennym budził strach porywczością i mściwością. W domu Ciaptaka nie było zgody. Jednego dnia postanowił uczynić rozprawę ze sobą. Wieczorem, gdy na dworze szalała niepamiętna zawieja śnieżna, spalił wszystko osobiste, z książką przewodnicką włącznie. Opuścił dom bez słowa. Przed północą widziano go raz ostatni w schronisku na Kalatówkach, gdzie wstąpił na chwilę, nie na wódkę, lecz na szklankę herbaty. Wyszedł i tyle go widziano. Żadne ekspedycje ratunkowe nie mogły trafić na jego ślad. Dopiero w kilka lat później znaleziono daleko, w kotle Czerwonych Wierchów zwłoki wysokiego człowieka w góralskim ubraniu. Domyślano się w nich Ciaptaka. Pewności nie było, gdyż przecież przed tragiczną wyprawą zniszczył wszystko, co by mogło świadczyć o nim. Pochowany został bezimiennie, jak chyba tego chciał, opętany straszną zwadą z całym światem.

Nawrotów zatem tetmajerowskiej legendy nie brak i w dzisiejszej góralszczyźnie. A jednak najosobliwszą cechą górala nie jest jego wielki gest, nie jest nawet spokój w obliczu niebezpieczeństwa i śmierci — ale umiejętność pozostania sobą w każdej sytuacji lub raczej wytrzymania każdej sytuacji w sposób budzący szacunek. Ci nieokiełzani jakoby i targani namiętnościami ludzie są mistrzami taktu! Trudno doprawdy powiedzieć, że tę właśnie cechę nabyli w wyprawach zbójnickich i myśliwskich. Jest to już coś więcej, coś, co nas naprowadza na zagadnienie starej, wytrawnej kultury.

Widziałem górali na Zamku warszawskim, gdzie obracali się ze swobodą ludzi obytych od urodzenia z pałacowym blaskiem i obyczajem, widziałem ich w stu innych okazjach, sam urządzałem w Zakopanem przyjęcia i spraszałem na nie elitę inteligencji i przeróżnych górali. I kiedy inteligenci, pod wpływem napitków i muzyki góralskiej, nieraz tracili panowanie nad sobą, górale zawsze dotrzymali właściwej im godności.

Nic bardziej ciekawego i pouczającego, jeżeli chodzi o dwoistość natury góralskiej, jak taniec zwany „drobnym". Wstęp do niego stanowi dworski ukłon tancerza złożony tancerce, szerokim gestem kapelusza, po czym taniec zrywa się od razu, gwałtowny jak burza. W zasadzie jest to tokowisko taneczne, gwałtowne i namiętne, choć bynajmniej nie wyuzdane i nigdy bezwstydne. Po ukończonym tańcu, półprzytomny tancerz przenosi się w mgnieniu oka w ten jakiś drugi świat dworności i znowu dziękuje tancerce ukłonem pełnym elegancji.

W żaden więc sposób nie można zrozumieć górala poprzestając na tym, co w nim jest pierwotne lub nabyte w walce z okrutnymi żywiołami gór. To zaś, co stanowi o podhalańskim stylu sztuki i życia, nie da się pomieścić ani w chałupie góralskiej, ani w całym środowisku Podhala, zbyt ciasnym, zbyt biednym, zbyt surowym, aby wyłonić wysoką rasę ludzi i jej wysoki obyczaj. Otarcie się zbójników o niezłą kulturę niziny spiskiej nie mogło wywrzeć żadnego wpływu nie tylko już na Podhale, ale i na samych już zbójników, boć przecież nie z kasztelanami, ale z ich pachołkami mieli do czynienia. Nie ma żadnego śladu spiskiego w pieśni czy opowieści góralskiej, tak jak nie ma śladu niziny polskiej. „Panowie, panowie, będziecie panami, ale nie będziecie panować nad nami" — oto jaką odprawę dostaje Polska nizinna od górali. Jedyny zaś tekst piosenki na tematy spiskie, którego melodia jest zresztą przerobionym z góralska czardaszem, brzmi: „Hej, madziar pije, hej, madziar płaci... hej, na madziara płacą dzieci." Poza pogardą dla marnotrawcy nie znajdziemy w nim nic.

Powtarzam: nigdzie tak bardzo jak na Podtatrzu nie zastanowi nas i zaskoczy zagadka kultury ludowej. Nigdzie tak trudno poprzestać na przypuszczeniu, że pierwocinami jej jest polana, puszcza, piastowska pasieka lub nawet pogańska gontyna.

Wiemy, że ludzie łamiący sobie głowy nad pochodzeniem górali uciekli się między innymi do hipotez wywodzących górali od Rzymian i Indian. W pierwszym wypadku powoływano się na fizyczne cechy górali. Naciągnięty wywód narzuciła chyba duma, arystokratyczność, wyniosłość, swoista ludziom z Podhala. Związków górali z Indianami dopatrywano się w rysach twarzy, tj. w skośnym, uciekającym czole, wąskich ustach, rysunku brody, lecz także i w ciupadze — tomahawku, w motywach zdobnictwa i szczegółach odzieży.

Ni jedno, ni drugie nie przekonywuje. Z wersji indiańskiej pozostaje jedno: ląd starej, wielkiej kultury zatopiony w powodzi czasu. Nieodgadła jego a uparta legenda narzuca mi się zawsze, ilekroć myślę o góralszczyźnie i góralach.

Cóż jednak z separatyzmem góralskim, który stale irytował Polaków, a narobił tyle złej krwi podczas ostatniej wojny? Przypisując góralszczyźnie rodowód tajemniczy i odmienny od reszty polskiego ludu dałem mu niejako z góry swoje „placet". Nie znaczy to bynajmniej, bym chciał usprawiedliwiać tych, którzy poszli na rękę Niemcom. Żałosna historia podtatrzańskich Ostrogotów (powtarzała zresztą na osnowie jednej z hipotez usiłujących za wszelką cenę wytłumaczyć pochodzenie górali) była jedynie epizodem pozbawionym znaczenia, tak jak volksdeutsche nie znaczyli nic w zestawieniu z postawą całej Polski podczas ubiegłej wojny.

Separatyzm był jednak zawsze cechą góralszczyzny. Nie dawne są jeszcze czasy, gdy górale stykający się z ludźmi z nizin nazywali ich po prostu Polakami. Sam za młodych lat słyszałem, jak pewien stary baca na Chochołowskiej Hali nazwał robotników pomagających mierniczemu „Lachami". Pogardliwy ton i grymas świadczył jasno o braku wszelkiego respektu dla „Lacha". Wszyscy pamiętający Podhale wiedzą, że do ostatnich lat „ceper" — chłop od cepa — oznaczał człowieka z nizin, niedojdę przy tym i tępaka. I chociaż w ustach sąsiadującego z Podhalem ludu „gorol" oznaczał głupca i chama — to jednak była to tylko sąsiedzka niechęć. Góralszczyzna zdawała się odgradzać od całej Polski.

Tłumaczyć można to przeróżnie. Góral z ludźmi z nizin zapoznał się późno. Pierwszy proboszcz Zakopanego Stolarczyk natrafił na wierzenia na poły jeszcze pogańskie. Pisma — opowiada Chałubiński — tak jak nie znano. „Władza" pojawiła się na głębszym Podhalu dopiero w postaci austriackich żandarmów. Zaś bardziej ku światu otwarta Nowotarszczyzna łączyła się wspomnieniami z buntem Kostki Napierskiego.

Lecz... w starych chatach góralskich, daleko od świata żyła przecież tradycja Polski, starannie, skrycie przechowywana. Trzynaście starościńskich rodów Chochołowa — to potomkowie żołnierzy łanowych Stefana Batorego. Dekrety królewskie, nadające im przywileje wolności obywatelskiej — tworzyły z nich coś w rodzaju szlachty wśród ludu góralskiego, i tak już dość „honornego". Podobne rody gnieździły się w Dzianiszu, Jurgowie, Białej nad Białką, a więc w samym zakutym rdzeniu góralszczyzny. Legenda bojów polskich przeciw Moskwie wyprzedziła legendę anarchicznych harnasiów. Zauważmy: główny zbójnik Janosik pojawia się dopiero po rozbiorach Polski.

Legendzie dawnych wojen umiano dotrzymać wierności, i to w tych jeszcze czasach, gdy Podhale było niepiśmienne i na poły pogańskie. Nie jest przypadkiem, że jedyne powstanie chłopskie przeciw zaborcy podjęli właśnie górale chochołowscy. Zryw ich, jedyny w okresie niewoli, wyodrębnił ich znów z całości polskiego ludu — tym razem jednak przekreślił raz na zawsze kwestię separatyzmu góralskiego i ich boczenia się na Polaków, Lachów, ceprów.

Stosunek górali do Polski potoczył się również własnym torem podczas ostatniej wojny.

O „Ostrogotach" i przywódcy ich Wacławie Krzeptowskim szkoda wielu słów. „Wacusiem" nazywali go górale jeszcze przed wojną. „Harnaś z Krupówek" — dodawali bardziej dowcipni. Jeżeli Wacuś, sam uwikłany w długi i fałszywe weksle, ratował się kumoterstwem z Ostrogotami, wpływ jego nie sięgał daleko poza Krupówki. Do Ostrogotów zapisało się co prawda paru lizusów i nieco biedoty, ale i nędza podczas wojny była na Podhalu niewspółmierna z resztą Polski.

Zaś... przełęczami górskimi, zimą i latem krążyli nieustannie kurierzy spośród górali, nawiązując łączność Polski z walczącym o wolność światem. Znaleźli się wśród nich Krzeptowscy (ci z Krzeptówek, nie z Zakopanego), Marusarze, Fronczyści (rodu starościńskiego), Karpiele, Zubkowie, Bujaki, Wawrytki.

Tym razem stare legendy góralskie, ta zbójnicka, myśliwska i przewodnicza, i ta Batorowska i powstańcza połączyły się w jedno. Nie ma i nie będzie historii dramatów, jakie rozegrały się podczas wojny w górach. Nie będzie medali na piersiach i nawet pochwalnych napisów na nagrobkach. Może wspomnienie tych lat ożyje w jakiejś nowej góralskiej legendzie, może w pieśni, którą kiedyś zasłyszy i pokocha muzyk przybyły z nizin.

SED CONTRA

O TORTURZE

Niech wolno mi będzie podzielić się z Czytelnikami paroma uwagami, które mi nasunął powszechniejszy dziś, niż dawniej, zwyczaj brania ludzi na spytki.

A więc *po pierwsze* powiem, że tortura jest bardzo ciekawym i godnym uwagi filozofów zabiegiem. Ja wiem doskonale, że tego rodzaju rozważania nie odpowiadają osobom delikatnym. Ale dlaczego by filozof i w ogóle myślący człowiek (to jest zdaje się jedno i to samo) nie miał o tym myśleć dzisiaj, kiedy ma jeszcze możność spokojnego rozważania, nie widzę powodu. Nie widzę tym bardziej, że każdemu z nas może się tortura niebawem przydarzyć osobiście i może dobrze by było mieć wyrobiony na nią pogląd.

Po drugie: człowiek na torturze decyduje „z własnej i nieprzymuszonej woli". Kiedy bandyta przytyka mi rewolwer do głowy i mówi „pieniądze albo życie" przymus polega tylko na tym, że odbiera mi wszystkie inne możliwości poza tymi dwoma; ale między *tymi* dwoma, wybieram ja sam, z własnej woli. To ja, aktem mojej woli wybieram utratę pieniędzy. Dokładnie tak samo na torturze; uginając się, wybieram z własnej i nieprzymuszonej woli grzech raczej niż cierpienie.

Po trzecie: nieprawdą jest, by człowiek wzięty na męki miał prawo wszystko uczynić, aby się od nich uchronić. Skąd taki pomysł? Proponuję następującą ilustrację: nie wolno przecież podrzynać swojej siostrze albo matce gardła poto, aby uniknąć bólu zęba. Albo może wolno? A jakaż różnica między tym a sprawami, których domagają się na torturze? Różnica stopnia, nie jakości. Nie wolno nigdy wykonać czynu złego.

Po czwarte: chodzi gadka, wymyślona przez kiepskich lekarzy, że „nerwy nie wytrzymały". Pewnie, że istnieje granica wytrzymałości nerwowej, ta mianowicie, poza którą człowiek nie może już decydować. Ale składanie na rachunek nerwów każdego grzechu jest oczywistym nonsensem moralnym. Warto by też pamiętać, że miejsce, w którym leży granica zależy *w bardzo wielkiej mierze* od woli, od charakteru. Oczywiście, że taki, który nie może sobie nigdy niczego odmówić — nerwy mu nie wytrzymują na widok papierosa — będzie na mękach jak szmata. Ale to nie racja, aby z tego robić zasadę.

Po piąte: że to co mówię, nie jest teorią, świadczy tradycja chrześcijańska i tradycja polska. Takiego, który na mękach zgodził się spalić ziarnko kadzidła przed bożkiem, przyjmowano na łono Kościoła dopiero w godzinę śmierci; a z polskich przywódców ostatnich czasów, o ile wiem, nie „załamał się" nikt.

Po szóste: opowiadają coś o jakichś zastrzykach czy pigułkach, które dają na „obezwładnienie woli". Nie wierzę. Nigdy nie widziałem dowodu, a wszystko co wiemy przez naszych ludzi, którzy wyszli cało z rąk oprawców, świadczy, że oni poprostu biją, głodzą, sen odbierają i wymyślają. Dodam jeszcze jedno: ci co mówią, że tortury współczesne przewyższają starożytne albo średniowieczne, powinni naprawdę trochę się historii nauczyć, albo choćby przyglądnąć się jakiemu rzymskiemu więzieniu. Wszystko wymysł puszczony przez oprawców, aby ludzi zastraszyć na zapas.

Nie chciałbym być źle rozumiany. Nie wiem jak ja sam bym się zachował na mękach — nikt z nas nie wie. Nie mam żadnego prawa sądzić moich bliźnich, którzy przeszli rzeczy, o których ja mam pojęcie czysto zewnętrzne, bez doświadczenia własnego. Chodzi mi jednak nie o nich, lecz o *siebie*. Zdaję sobie sprawę, że jutro męka może *mnie* czekać. Formułuję zasady, których będę starał się trzymać z Boską pomocą. Wydaje mi się, że będą one bez porównania surowsze niż to, co się nieraz słyszy. Jest moim przekonaniem, że idąc za owym *vox populi* przyznawałem się dotąd — i może nie ja sam tylko — do dosyć podłej, niechrześcijańskiej i niepolskiej postawy, powstałej pod wpływem strachu i bolszewickiej propagandy. Postanowiłem tę postawę zmienić — i to do publicznej wiadomości niniejszym podaję.

I. M. B.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Większość chrześcijan w kraju misyjnym. W Urundi w 1951 r. chrześcijanie po raz pierwszy przewyższyli ilościowo pogan: na 800 tysięcy pogan było 914 tysięcy ochrzczonych i katechumenów. W drugiej połowie roku 1952 w dwóch wikariatach apostolskich Kitega i Ngozi liczba 694 tysiące katolików z roku poprzedniego wzrosła do 742 tysiące, ponadto liczono 220 tysięcy katechumenów. Przypuszcza się więc, że w roku obecnym liczba katolików zwiększy się do miliona. W Barundi notowano w październiku zeszłego roku 78 tysięcy chrztów, w tym 26 tysięcy osób dorosłych.

Trapiści w Chinach. Przed rokiem został założony klasztor trapistów na wyspie Lantao w kolonii Hong-Kong. Jakkolwiek dostęp do wyspy jest trudny, wielu chrześcijan i pogan, znęconych nową fundacją, przybywa na wyspę: życie zakonników według zasady „Módl się i pracuj" wywiera głęboki wpływ na Chińczyków.

Odpowiedzialność francuskich klasztorów kontemplacyjnych. W wydawanym przez sławne opactwo św. Andrzeja w Belgii (Saint-André-les-Bruges) „Contemplation et Apostolat" Dom Pierre Delegue zamieścił apologię zakonów kontemplacyjnych, wykazując kapitalną rolę, jaką spełniały one w dziejach Kościoła. Następnie wskazał na obowiązek klasztorów francuskich tych zakonów zakładania we wszystkich krajach misyjnych, pozostających w związku z Republiką Francuską, klasztorów swoich reguł. Jest to konieczne, ażeby ludy pogańskie widziały Kościół w całej jego naturze, a przede wszystkim, ażeby Bóg nie został pozbawiony swego istotnego prawa do odbierania czci na wszystkich miejscach kuli ziemskiej w sposób widoczny, publiczny, powiedzmy liturgiczny. Ma to ogromne znaczenie zwłaszcza w krajach muzułmańskich, które pozostają szczególnie oporne wobec światła Ewangelii, co należy w dużej mierze przypisać temu faktowi, że chrześcijanie żyjący w tych krajach gorszą muzułmanów swym życiem b e z m o d l i t w y. Wielu muzułmanów nie może wobec tego zobaczyć, jakie jest pełne życie chrześcijańskie, odpowiadające wymaganiom Ewangelii. Ten brak mogą i muszą wyrównać zakony kontemplacyjne, które są w stanie dać obraz życia takiego, jakiego domaga się chrześcijaństwo. Obecnie we Francji, według „Guide-annuaire catholique de France" za rok 1952, jest 50 klasztorów kontemplacyjnych męskich i 396 klasztorów kontemplacyjnych żeńskich, w tym 17 klasztorów trapistów, 15 opactw benedyktyńskich, 4 klasztory kartuzów, 135 klasztorów karmelitanek, 40 benedyktynek, 18 cystersek, 51 klarysek itd.

Apostolstwo Morza. Obecnie w całym świecie jest 400 centrów Apostolstwa Morza z odpowiednią liczbą duchowieństwa jako kapelanów. W ostatnich czasach potworzono Rady Narodowe tegoż Apostolstwa, podległe Hierarchii kościelnej.

Troska o moralność kina w Belgii. Episkopat belgijski ogłosił list pasterski w sprawie kinematografii. List zwraca uwagę na szkody duchowe spowodowane nie tylko przez filmy niemoralne, ale i przez dające błędne rozwiązania problemów życiowych. Episkopat podkreśla odpowiedzialność w tym względzie producentów filmowych, właścicieli kin, prasy i przypomina katolikom obowiązek sprawdzania przed pójściem do kina list wydanych przez Ligę Katolicką Filmu. W związku z listem pasterskim Episkopatu organizacje katolickie w Belgii wystosowały apel do wszystkich katolików, wzywając ich do bojkotowania filmów zakwalifikowanych jako złe i do popierania filmów zalecanych przez Ligę Katolicką Filmu.

Z filmów belgijskich i importowanych zakwalifikowanych w Belgii w roku 1952 jako szkodliwe dla młodzieży było:

z ogółu produkcji	belgijskiej	1.72%
„ „ „	amerykańskiej	1.43%
„ „ „	włoskiej	12.12%
„ „ „	angielskiej	14. 8%
„ „ „	niemieckiej	24.24%
„ „ „	francuskiej	42.47%
„ „ „	sowieckiej	58.33%

Kościół Ukraińców. W Cook's Creek w Kanadzie Ukraińcy zbudowali w ciągu 21 lat kościół, przy którego budowie prace zostały wykonane całkowicie przez ochotników. Kościół może pomieścić 1.000 osób; ma 140 stóp długości, 100 szerokości, 108 wysokości.

Czy poza Kościołem można być zbawionym? Trzy lata temu ks. Leonard Feeney w Bostonie został zasuspendowany przez arcybiskupa Cushing'a za nauczanie, że poza Kościołem nikt absolutnie nie będzie zbawiony. Kilka tygodni temu ogłoszono ostrzeżenie Stolicy Apostolskiej, która wyjaśnia rzeczywistą naukę Kościoła o możliwości zbawienia osób nienależących do Kościoła katolickiego i wzywa ks. Feeney'a, by ukorzył swój rozum przed najwyższą, nieomylną władzą Kościoła.

Odpusty przy odmawianiu różańca w programach radiowych. Wierni słuchający programu radiowego, w czasie którego odmawiany jest różaniec, mogą zyskać odpusty różańcowe, jeśli odpowiadają odmawiającemu różaniec przez radio. Jedyny warunek postawiony przez Stolicę Apostolską jest ten, że program, którego się słucha, musi być aktualnie wykonywany w czasie, kiedy odmawia się różaniec. Nie może to być płyta odtwarzająca program poprzednio wykonany. W Stanach Zjednoczonych obecnie ponad 5.000 miast i miasteczek ma programy z codziennym różańcem.

ZOFIA KOSSAK

NAGLĄCE WOŁANIE

Działo się w Polsce w 1941 r., a choć czytelnik emigracyjny opowieści z czasów okupacji niemieckiej nie lubi, tej historii posłuchać powinien. Jest ona autentyczna do najdrobniejszych szczegółów. Słyszałam ją z ust samej zainteresowanej osoby, mojej przyjaciółki, Weroniki.

Weronika, zwawa, choć blisko pięćdziesięcioletnia kobiecina, miała męża w Oflagu, dzieci poukrywane na prowincji, gdzie się uczyły, sama z matką staruszką mieszkała w ciasnej izdebce na Powiślu i, — jak całe społeczeństwo polskie w owym czasie, oddawała się z zapałem konspiracji. Wszakże było to przedwiośnie 1941 roku. Jeszcze nadzieja zieleniała w sercach jak ozimina na pokrytych śniegiem polach, jeszcze kwitły bogate złudzenia. Niczyj zgon nie wydawał się daremny, żadna ofiara za drogą, żaden trud nadmierny, żadne ryzyko zbyt wielkie. Powietrze dyszało walką, kamienie wołały o walkę. Podziemie zdawało się jedynym miejscem, gdzie człowiek czuł się potrzebny i wolny.

W dniu rozpoczynającym niniejszą opowieść Weronika biegła stromą ulicą Bednarską. Kierowała nią nadzieja, że na Krakowskim, przed kościołem św. Anny, zdoła uczepić się tramwaju. Zimny wiatr marcowy dął, niezgarniane kupy śniegu topniały na chodniku. Wypadłszy na górę, minęła Towarzystwo Dobroczynności, potem wypalone mury dawnej Resursy, dobiegała już przystanku, gdy ktoś na nią z tyłu zawołał. Sama mi opowiadała, że inaczej nie można tego określić. Ktoś zawołał. Zawróciła. Na ulicy nie było nikogo. Cofnęła się jednak kilkanaście kroków, aż pod stary gmach Dobroczynności ze znanym każdemu warszawiakowi napisem: „R e s s a c r a m i s e r" na uszkodzonym kulami frontonie.

W gmachu na dole mieścił się sklep z tandetnymi dewocjonaliami. Duże okno wystawowe zatłoczone posągami jaskrawo polichromowanego gipsu. Wyobrażenia Najświętszego Serca, Matki Niepokalanej, św. Tereski z różami, w małych i wielkich wymiarach, tak brzydkie, że aż bluźniercze. Weronika ilekroć szła tędy, odwracała głowę, by nie widzieć tej szpetoty, lecz właśnie stamtąd na nią zawołano. Stanęła więc i patrzyła.

Kolorowe rzędy figur ustawionych schodkowato od najwyższych do najmniejszych były rozsunięte, dając po środku miejsce dużemu obrazowi Matki Boskiej Częstochowskiej. Weronika ledwo zdążyła rzucić nań okiem, gdy rozległ się dzwonek nadjeżdżającego tramwaju. Skoczyła, lecz nie zdołała się dopchać. Zręczniejsi od niej uczepili się wejścia, klamki, zderzaka, ram okiennych. Ponieważ tramwaje chodziły wówczas co pół godziny, należało ruszać pieszo, nie tracąc na próżno czasu. Jednakże Weronika zawróciła znowu, by przyjrzeć się Obrazowi.

Był ciemny ze starości, malowany niedołężnie. Ponad głową Jasnogórskiej dwa aniołki niezgrabne, podobne do prosiąt, trzymały wstęgę z Pozdrowieniem Anielskim. Kształt liter oraz pisownia wskazywały na wiek XVIII. Dzieciątko było sztywne, rysunek twarzy Bożej Rodzicielki wadliwy. Rzucało się w oczy, że malarz nie miał pojęcia o swoim rzemiośle. A jednak...

Mimo swojego nieuctwa osiągnął siłę wyrazu. Nie umiał odtworzyć rysów, lecz oddał spojrzenie. Oczy do połowy przysłonięte powiekami, oczy spłakane, a pełne czułej litości. Po tych oczach poznałbyś Jasnogórską na końcu świata. Po tych oczach poznawałeś również, że artysta malował bezpośrednio według Cudownego Wizerunku i że czynił to na klęczkach. Pędzel jego był nieudolny, modlitwa skrzydlata.

Weronika oderwała się z trudem od okna i ruszyła na zebranie tajnej prasy, na które już była spóźniona. Po raz pierwszy wydało jej się mniej ważne, niż dotąd sądziła. Wróciła szybko, jeszcze przed zamknięciem sklepu i wpadła do wnętrza pytając o cenę Obrazu.

Pan Piekarski, właściciel, siedział w zimnym pomieszczeniu wypełnionym posągami, z posępnym wyrazem twarzy. Nieprzychylny los dał mu w ręce towar najmniej odpowiedni na czasy wojenne. Któż dziś funduje posąg dla parafii? Szczęśliwi, którzy handlują słoniną, chlebem, albo trumnami! Przelotny uśmiech witający klientkę zgasł po zrozumieniu, o jaki Obraz pytała.

— Komis — wycedził lekceważąco — starzyzna.

— Jaka cena?! — nalegała gorączkowo Weronika.

— Trzysta złotych — rzekł wyniośle. Kobieta zadrżała.

— Trzysta złotych?! — powtórzyła. Suma przekraczała jej możliwości przynajmniej dziesięciokrotnie.

— Tak, tak — przytwierdzał właściciel, łagodząc sceptycyzmem wyniosłość. — Trzysta złotych... Nie wiem, kto to da... Rama oblazła z pozłoty... Ale ja sprzedam paniusi tanio piękny obraz nowiuteńki, z nową ramą...

Klientka nie chciała jednak słyszeć o innym obrazie i wyszła zmartwiona. Mimo zimna nie odchodziła. Przylgnąwszy nosem do szyby stała wpatrzona w ciemne lico Matki Bożej, dopóki zmierzch nie zasnuł wszystkiego wokoło.

Tak się rozpoczął obłęd Weroniki.

Obraz o licu źle narysowanym i o przejmującym spojrzeniu wypełniał odtąd jej myśli, towarzyszył nieustannie, śnił się po nocach. Opowiedziała o nim Babci, to jest swojej matce, opowiedziała przyjaciołom, znajomym bliższym i dalszym. Obraz stał się jej obsesją. Bywało, że na konspiracyjnym zebraniu, w toku roztrząsania ważnych zagadnień, rozpoczynała mówić o Obrazie, zdradzając się ze swym bzikiem.

Pomału nabywała przekonania, że Obraz powinien znajdować się u niej, a nie w sklepie i że naznaczona zań, nieosiągalna dla niej, cena jest krzywdą. Gdy jednak życzliwe kumy radziły odszukać właściciela Obrazu i potargować się z nim, odpowiadała przecząco. O t a k i Obraz — targować się? Nie!

Przyjaciółki były na prawdę stroskane jej stanem. Jeszcze w marcu, gdy „histeria Obrazu" wybuchła, biegały gromadnie lub pojedyńczo obejrzeć obiekt pragnień Weroniki. Wracały rozczarowane.

— Moja droga, to bohomaz.

— Stare, bo stare, ale bez żadnej artystycznej wartości...

— Mieliście przecież piękne obrazy religijne; miałaś Madonnę Simmlera i Chrystusa Ary Scheffera, a teraz zachwycasz się kiczem...

— Przyznam otwarcie, że chciałyśmy złożyć się i kupić ci ten Obraz na imieniny... Ale, zobaczywszy, zadecydowałyśmy wszystkie, że szkoda pieniędzy...

Weronika przyjmowała te uwagi ze spokojem. Kochane kumy nie pojmowały w czym rzecz. Ona sama pojmowała? Także nie. Gdyby na nie zawołano, jak na nią, postępowałyby tak samo. Wiedziała dobrze, że jej Obraz to w oczach krytyki „bohomaz", ale równocześnie czuła, że porównywanie go z przesłodzonym Simmlerem lub afektowanym Ary Scheferem, jest równie krzywdzące jak sąsiedztwo okropnych gipsowych posążków. Wartości niewymierne.

A tymczasem wiosna szła, lato szło, mijało. Wir wypadków straszliwych, okrutnych, niespodziewanych lub oczekiwanych nie zwalniał. Pole walki, którym była Polska z całą ludnością zmobilizowaną, jak jeszcze nigdy w historii, wypełniał gwałt bitewny, tym bardziej przejmujący, że rozgrywany w milczeniu Podziemia. W toku tych zdarzeń Weronika uczestniczyła tylko połową uwagi. Druga połowa jej istoty pozostawała stale przy Obrazie, tkwiącym niezmiennie w oknie sklepowym. Gdy wyjeżdżała w teren, bezpośrednio po powrocie biegła na Krakowskie sprawdzić, czy Obraz jest nadal na miejscu. Wynajdywała pretekst, by przechodzić koło sklepu. Jadąc tramwajem wychylała się, by go z daleka zobaczyć. Kilka razy w miesiącu nachodziła pana Piekarskiego, który odwracał się od niej, jako od notorycznej wariatki.

— Szkoda marnować czas po próżnicy — zapewniał. — Kupujesz, paniusia, to dobrze, a nie, to po co zachodzic?

— Nie mam pieniędzy, żeby kupić — tłumaczyła pokornie— ale może będę je miała... (skąd?!) a tymczasem Obraz się komuś spodoba...

Wzruszał pogardliwie ramionami.

— A komu by się ta starzyzna podobała? Tyle nowych obrazów tu stoi i nikt ani na nie spojrzy...

— — — — — — —

30 sierpnia (była to sobota) zdarzył się fakt zakrawający na cud. Znajomy ze Śląska zgłosił się do ciasnej izdebki na Powiślu i zwrócił dług przedwojenny, 300 złotych...

Dług przedwojenny, o którym obie kobiety dawno już zapomniały. Dłużnik sam je odszukał i przyniósł pieniądze. Podobne fakty zdarzają się na ogół tylko w powieściach, tu zdarzyło się autentycznie w życiu. Weronika szalała z radości. Dziękowała szlachetnemu oddawcy z takim wylaniem, że czuł się zakłopotany.

— Biegnę po Obraz! — oznajmiła tryumfalnie, gdy wyszedł.

— Może by tobie i dzieciom trzewiki, może wełniane pończochy... — sugerowała nieśmiało Babcia. Daremnie, bo córka była już na dole.

Aczkolwiek śpieszyła, zastała sklep zamknięty. Pan Piekarski, przekonany, że żaden klient nie przyjdzie, poszedł odwiedzić znajomych. Weronika mogła tylko po dawnemu patrzeć na Obraz przez szybę i wróciła do mieszkania zgnębiona, jakby spotkała ją klęska.

— Cóż się stało? — uspokajała Babcia. — Pójdziesz w poniedziałek...

— Tak, tak, d o p i e r o w poniedziałek — odpowiedziała jak obłąkana.

W nocy nie spała (ona, Weronika! Chrapiąca zwykle, ledwo przyłożyła głowę do poduszki). Przewracała się z boku na bok targana niepokojem. Podobny niepokój, chociaż w słabszej skali odczuwała w przededniu rewizji, aresztowań bliskich osób. Lecz przyczyna obecnego lęku była niewiadoma. Nie strach, do którego powodów było aż nadto o każdej porze dnia czy nocy, ale lęk.

Modliła się rano, by niedziela minęła szybciej. Jak na złość godziny wydłużały się nieznośnie. Dzień nie miał końca. Po południu przyszły do izdebki kumy, przynosząc sukces sezonu: piernik z marchwi z dodatkiem lipowego kwiatu. Choć poniektórzy twierdzili, że ten właśnie piernik dał początek wyrażeniu „lipa", pieczywo smakowało znakomicie. Zajadając poinformowano kumy o przedwojennym dłużniku. Uczciły cnotę tak wielką półminutową ciszą zaskoczenia, poczem przemówiły chóralnie:

— Spodziewam się, że nie wydasz tych pieniędzy na twój Obraz?

— Latasz jak wariatka w samych dziurach, a zima idzie... Na Kercelaku dostaniesz za sto złotych jesionkę jeszcze nie bardzo zniszczoną...

— Widziałam na Topiel buty z podwójnego koca, na drewnianej, łamanej podeszwie... Byłyby w sam raz dla twojej małej... Kosztują pięćdziesiąt złotych.

Weronika nie odpowiadała, a pod lada pretekstem zniknęła. Kumy zrozumiały o co chodzi i zmartwione usiłowały tchnąć ducha oporu w Babcię.

— Nie można dłużej tolerować tego szalenstwa — twierdziły. — Niech Babcia jej wytłumaczy! Niech Babcia zabroni!

Babcia kiwała głową przecząco. Szkoda mówić na ten temat. Nic nie wytłumaczy. Widocznie tak trzeba.

Weronika stała przy kranie na korytarzu i zmywała talerzyki. Przed polaniem wodą, zbierała starannie okruchy piernikowej marchwii i zlizywała je z palca z uznaniem. Słyszała każde słowo rozmowy i było jej przykro, że gorszy swym postępowaniem kochane, najlepsze przyjaciółki. Czyż ona sama dobrze nie wie, że zima nadchodzi, że Babci, dzieciom, jej trzeba mnóstwa rzeczy, że te pieniądze są jak z Nieba i jedyne!? Dobrze wiedziała, lecz tamto był m u s. Nakaz nie podlegający dyskusji.

W poniedziałek rano pobiegła za wcześnie. Sklep był jeszcze zamknięty. Zdenerwowana siedziała na skwerze dłużej niż godzinę, nie spuszczając oczu z wejścia. Dlaczego Piekarski nie otwiera? Może nie otworzy wcale?! Co wtedy będzie? Nareszcie otworzył. Gdy ze zgrzytem podniosła się w górę żelazna okiennica, Weronika rzuciła się z takim impetem, że omal nie przewróciła smutnego człowieka. Zdyszana cisnęła mu bez słowa otrzymane w sobotę trzysta złotych i chwyciła Obraz. Pan Piekarski zgorszony tym zachowaniem, chciał go otrzec z kurzu, nawet łaskawie bąknął coś o odzłoceniu ramy bardzo tanio — nie słuchała. Porwała zdobycz i pobiegła do domu niewypowiedzianie szczęśliwa. Sama mi opowiadała, że zeszło na nią, nieznane od pół roku ukojenie, zadowolenie niby z wykonania trudnego zlecenia. Jak gdyby ważna sprawa w jej ręce złożona została nareszcie spełniona. Chciało jej się płakać z radości.

Wkroczyła do izdebki tryumfalnie, unosząc wysoko Obraz. Babcia patrzyła nań długo przez podwójne okulary. Nim wypowiedziała opinię, nadeszły stróżka i praczka zaciekawione nabytkiem. Milczały również, prawdopodobnie nie chcąc urazić Weroniki, ona jednak tłumaczyła to sobie wrażeniem wywołanym przez Obraz.

Dzień 1 września 1941 roku zdawał się odświętny, choć rozpoczynał trzeci rok wojny, niewoli i nierównej walki. Weronika zrobiła sobie „wolne". Odprawiła łączniczki, patrzyła na Obraz, zawieszony już nad łóżkiem, gawędziły z Babcią o nieobecnych, o przeszłości i przyszłości, pietrasiły jakieś jadło na dymiącym żelaznym piecyku. Ani się opatrzyły, kiedy nadszedł wieczór.

— Prawda, co za szczęście, że ten Obraz już jest u nas? — zapytała Weronika, gdy kładły się spać.

— Cieszę się, że jesteś rada, moje dziecko — odparła Babcia. — Dobranoc.

Spały twardo, kiedy około północy obudził je straszny huk. Syreny niemieckie wyły, oznajmiając alarm. Spóźniona zapowiedź, bo nieprzyjaciel już bombardował Warszawę. Świat się walił. Kamieniczka na Powiślu trzęsła się jak w febrze, otrząsając z siebie pył. Wszyscy mieszkańcy zbiegli do piwnicy, tylko Weronika z Babcią, chociaż ubrane, zostały u siebie. Babcię męczyło chodzenie po schodach. Trupie światło „kandelabrów" wypełniało pokój. Grzmoty pocisków buchały to bliżej, to dalej. Niedaleki silny wybuch zadygotał wnętrzem. Działa przeciwlotnicze stukały bez przerwy. Po pewnym czasie bombardowanie ucichło, a wprędce potem alarm odwołano. Można było usiłować nawiązać przerwany sen.

Wczesnym rankiem do pokoju zastukała stróżka. — Proszę paniów, powiadają, że w Dobroczynność rąbnęło! A Śniadeckich, Koszykowa, Politechnika stłuczone, gorzej jak w tamtym wrześniu...

...Towarzystwo Dobroczynności zniszczone?! Weronika ubrała się migiem, poleciała sprawdzić. Na Bednarskiej gromadki ludzi stały omawiając wypadki nocy. W powietrzu był dym, pył z cegieł i czad. Dochodząc do Krakowskiego Weronika widziała szyny tramwajowe wygięte jak płozy sań. Skręciła w prawo i — nogi się pod nią ugięły. Stary dom „Res sacra miser" był jedną ruiną. W miejscu sklepu z dewocjonaliami otwierała się czeluść pełna zwalonych cegieł i belek. Na ziemi gruz i sadze z rozwalonego komina. Na ulicy wśród odłamków szkła stos kolorowych okruchów: szczątki gipsowych posągów pana Piekarskiego.

Ogrodzenie skweru leżało pogięte. Weronika przysiadła na nim, by zebrać myśli. Jakżeż wszystko było teraz jasne, zrozumiałe! I pośpiech poprzedni i ów trawiący niepokój. Stary Obraz Częstochowskiej m i a ł b y ć o c a l o n y. Nieznany człowiek, który niegdyś, niegdyś malował go na klęczkach, uzyskał dla swego dzieła przywilej trwałości. Więc życzliwe moce od sześciu miesięcy zabiegały o ratunek wołając: Zabierz go! Zabierz!...

— — — — — — —

Wróciwszy do domu, Weronika zastała w pokoiku ścisk. Przybiegły kumy wstrząśnięte zdarzeniem, zeszli się współmieszkańcy domu. Wszyscy patrzyli z podziwem na Obraz, wadliwy w rysunku, wymowny w spojrzeniu, poczerniały z wieku. Z uznaniem wyrażano się o Weronice, o jej stałości i sile woli (zwanej poprzednio uporem). Pochwały te, zarówno jak przedtem nagany, nie czyniły na kobiecie żadnego wrażenia. Wszakże inaczej nie mogła postąpić.

Zofia Kossak

Rzymianie manifestują na cześć Polski

Z inicjatywy Uchodźców Intelektualistów AIRI została zorganizowana uroczystość w ramach Tygodnia Modłów Unijnych. Uroczystość poprzedzona była publicznymi modłami w bazylice Matki Bożej Większej, z udziałem kardynałów i ogromnej rzeszy wielojęzycznej publiczności, za Kościół Milczenia czyli za braci prześladowanych za wiarę za żelazną kurtyną.

Po nabożeństwie odbyła się manifestacja w sali Instytutu Archeologii Chrześcijańskiej na cześć dwóch dostojników, którzy nie mogli przybyć do Rzymu na konsystorz papieski: kard. Stepinacza i prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego. Na podium udekorowanym portretami Papieża i obu dostojników wystąpiły chóry polski i chorwacki. Zebranie zagaił adw. Vittorino Veronese inaugurując w ten sposób drugi rok działalności AIRI. Następny mówca, Chorwat, przedstawił na tle dziejów chrześcijańskich Chorwacji postać dzisiejszego dostojnika kard. Stepinacza.

Po nim wystąpił prof. Halecki, któremu słuchacze wyrazili swoje uznanie długotrwałymi oklaskami. Prof. Halecki, jak zwykle, jeżeli przedstawia obraz Polski, to czyni to na tle szerokim. W tym wypadku dał obraz wszystkich narodów, które znoszą prześladowanie, a więc Węgier, Litwy poddanej całkowitej eksterminacji, Ukrainy, Białorusi, Czech, Słowacji, nie tylko katolików, ale i prawosławnych. Polska weszła w okres swego millenium, w którym miała wielkich purpuratów, takich, jak Zbigniew Oleśnicki, miała takich, którzy wyniesienie do godności kardynalskiej otrzymywali w więzieniu, jak kardynał Ledóchowski. W r. 1946 kard. Sapieha mógł jeszcze przyjechać na konsystorz, dzisiejszy kardynał prymas Wyszyński nie przyjechał. Dzisiaj Polska do świata przemawia nie słowami, ale milczeniem.

Instytut Polski Akcji Kat. o zagrożonych pozycjach społeczeństwa na emigracji

Instytut Polski Akcji Katolickiej na VI dorocznym zjeździe w Londynie, dnia 1 lutego 1953 roku stwierdza, iż najbardziej zagrożone pozycje naszego życia na emigracji wymagają od całego polskiego społeczeństwa katolickiego pomocy i ochrony.

Tymi zagrożonymi pozycjami są:
szczęście rodzinne,
wychowanie dzieci
i zbawienie człowieka.

Ustrój kapitalistyczny, jak również obce środowisko nie sprzyjają normalnemu, szczęśliwemu zakładaniu i pożyciu rodzin;

paczą od żłóbka poczynając, wychowanie dzieci naszych, w których chcemy widzieć przyszłość narodu;

i przez swe materialistyczne nastawienie utrudniają rozwój wewnętrzny każdego człowieka stworzonego na chwałę Bożą.

Ale tenże ustrój zapewnia nam tu swobodę działania i liczy się ze zdrową opinią poważnych organizacji.

Dlatego uważamy, że w tych ciężkich czasach dla nas, a trudnych dla Kościoła, świadomi swych zadań katolicy powinni znajdować się w szeregach Kół Akcji Katolickiej, Sodalicji, Veritasu i innych stowarzyszeń katolickich, aby tam pracować nad sobą i razem, wspólnymi siłami dążyć do zaprowadzenia ładu Bożego na ziemi.

Oddając się Matce Najświętszej w opiekę, za Jej pomocą, nie w rozsypce i nie gromadą, ale w zorganizowanych szeregach powinniśmy iść do Chrystusa.

SOCJOLOGIA KATOLICKA — PROF. DR E. JARRA
i ANGIELSKO-POLSKI SŁOWNIK WYRAŻEŃ IDIOMATYCZNYCH
(bodaj że pierwszy tego rodzaju w leksykografii polskiej)
w opracowaniu Dr R. Mara, ukazywać się będą co miesiąc w ciągu 1953 roku, w zeszytach po 8 stron książkowego formatu i są do nabycia w przedpłacie miesięcznika
„S O D A L I S M A R I A N U S",
organu Polskich Sodalicji Mariańskich, poświęconego sprawom religijnym i kulturalnym.
Przedpłata pisma wraz z książkowymi dodatkami wynosi tylko 10 sh. rocznie.
Adresować: „SODALIS MARIANUS",
39, Fitzjohn's Avenue, London, N. W. 3.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

KATOLICKI KOMENTARZ DO PISMA ŚW. — Praca katolickich historyków i teologów angielskich przynosi coraz cenniejsze owoce. W tych dniach wyszło spod prasy imponujące dzieło zbiorowe pt. „A Catholic Commentary on Holy Scripture", poprzedzone przedmową arcybiskupa Westminsteru, kardynała Griffina. Jest ono rezultatem dziewięcioletniej pracy 43 wybitnych uczonych, nie tylko z Wielkiej Brytanii, ale także innych krajów świata anglosaskiego, a celem jego jest przedstawienie zdobyczy ostatniego półwiecza w zakresie biblioznawstwa. Naczelnym redaktorem dzieła był Dom Bernard Orchard, do którego należała także redakcja części odnoszących się do Nowego Testamentu, redaktorem komentarzy do Starego Testamentu był jezuita, ks. Edmund F. Sutcliffe, nadto w skład redakcji wchodzili: ks. dr Reginald Fuller, sekretarz Katolickiego Towarzystwa Biblijnego, oraz, jako sekretarz i skarbnik komitetu redakcyjnego, ks. dr Ralph Russell.

Jak stwierdza redakcja, bodźcem do napisania dzieła była słynna encyklika Piusa XII „Divino afflante Spiritu" z dnia 30 września 1943 r., w której szczególnie zachęcał uczonych katolickich do podjęcia takiej pracy.

Książka wydana przez firmę Nelson zawiera 1300 stron oraz liczne mapy i plany i kosztuje 4 gwinee.

KOMUNIZM W CHINACH I JAPONII. Ruchy komunistyczne na Dalekim Wschodzie, które doprowadziły do usadowienia się czerwonej dyktatury Mao-Tse w Chinach, stały się od kilku lat przedmiotem gruntownych studiów ze strony uczonych amerykańskich. Wynikiem tych studiów jest niemal równoczesne ukazanie się trzech poważnych dzieł z tego zakresu, które nabywać można także w Wielkiej Brytanii. Dwa z nich dotyczą Chin: „Chinese Communism and the Rise of Mao" Benjamina Schwartza (Harvard University Press, cena w Anglii 25 sh.), oraz „A Documentary History of Chinese Communism" Conrada Brandta, B. Schwartza i J. K. Fairbanka (Allen and Unwin, cena 42 sh.). Trzecia książka poświęcona jest komunizmowi w Japonii; tytuł jej brzmi „Red Flag in Japan", a autorami są R. Swearingen i P. Langer (Harvard University Press, cena 32 sh. 6d.).

Autorowie powyższych książek zgodni są w podkreślaniu, że komunizm w obu krajach Dalekiego Wschodu nie był w swych początkach rośliną wyrosłą z rodzimego gruntu. Był on rezultatem rewolucji bolszewickiej i zaszczepiony został, zarówno w Chinach jak w Japonii, przez emisariuszy Moskwy.

Wpływ komunizmu rosyjskiego w Chinach datuje się od chwili, kiedy wysłannik sowiecki Joffe doprowadził do zawarcia przymierza między komunistyczną Rosją a Sun-Yat-senem i jego partią: Kuomintangiem; stało się to w Szanghaju w początkach 1923 r. Kiedy Czian-Kaj-szek zerwał to przymierze w r. 1927, wywołało to krwawą reakcję ze strony rozgałęzionych już w Chinach ośrodków komunistycznych, którą Czian-Kaj-szekowi z trudem tylko, zwłaszcza w Kantonie, udało się stłumić. Stopniowo jednak infiltracja komunistyczna doprowadziła do owładnięcia ogromnych połaci kraju. Mimo to przywódcy sowieccy sami nie wierzyli, omal do końca, w możliwość opanowania całych Chin przez partię komunistyczną; wszystko wskazuje na to, że aż do r. 1946 swą politykę chińską opierali na stosunkach z Czian-Kaj-szekiem. Zwycięstwo Mao zaskoczyło równie silnie Zachód, jak Moskwę, tym bardziej, że wbrew doktrynom marksizmu główną siłę komunizmu w Chinach stanowili i dotąd jeszcze stanowią nie robotnicy przemysłowi, ale chłopi.

W książce swej B. Schwartz wyraża opinię, że Moskwie nie udało się i prawdopodobnie nie uda zrobić z Chin swego satelity, w tym znaczeniu, jak satelitami są kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Schwartz jednak wstrzymuje się od jakichkolwiek prognostyków co do możliwości bliskiego „rozejścia się" Z.S.R.R. i Chin, współdziałanie bowiem leży w interesie obu stron.

Jeśli chodzi o Japonię, to jej wysoce przemysłowy charakter powinien był być podatnym podłożem dla rozwoju komunizmu. Jak dotąd jednak, kolejnym rządom japońskim zawsze udawało się zahamować poważniejszy rozwój tego ruchu. Czy tak będzie i w przyszłości, to zdaniem pp. Swearingen i Langera zależy od tego, w jaki sposób rozwiązane zostaną palące zagadnienia społeczne tego przeludnionego kraju.

WIEŻA EIFFLA W NOWEJ SZACIE. Wieża Eiffla, która święci na wiosnę roku bieżącego 64-tą rocznicę swych „urodzin", otrzyma — jak donosi prasa paryska — nową szatę. Dotychczasowy kolor ciemno-brązowy zastąpiony będzie przez trzy jaśniejsze odcienie. Górna część wieży, od wierzchołka, gdzie znajduje się obecnie stacja meteorologiczna i reflektor obrotowy, aż po drugą „platformę", pomalowana będzie na kolor pomarańczowy. W przyszłym roku środkowa część wieży po pierwszą „platformę" pomalowana będzie na kolor jasno-brązowy, a w r. 1955 część dolna otrzyma szatę koloru orzecha włoskiego.

Czas odnowić prenumeratę !

JĘDRZEJ GIERTYCH

WŁADYSŁAW STUDNICKI

Zaproszony przez redakcję ŻYCIA do napisania notatki pośmiertnej o ś.p. Władysławie Studnickim, jestem w położeniu dosyć trudnym.

We wspomnieniach pośmiertnych zwykle stosuje się zasadę pisania „nil nisi bene". Ale zasada ta nie może być — nawet tuż nad świeżym grobem — w całej pełni stosowana wobec ludzi, którzy odegrali rolę wybitną jako politycy czy pisarze. Należą oni do historii i muszą być oceniani bezstronnie, jak postacie historyczne, to znaczy bez przemilczeń czy tym bardziej przeinaczeń i z myślą o ustaleniu prawdy.

Gdybym był w życiu często polemizował ze Studnickim, lub pisał o nim jako o przeciwniku politycznym — napisałbym dziś o nim ciepło, podkreślając to, co mam o nim do powiedzenia dobrego i stwierdzając, że powstrzymuję się tym razem od powtarzania tego, co mu zarzucałem i zarzucam jako przeciwnik polityczny. Ale tak się składa, że bardzo tylko rzadko i w sprawach drugorzędnych ścierałem się ze Studnickim piórem oraz właściwie nigdy nie napisałem szerzej, jak go oceniam. W tych warunkach pisząc o nim jako o człowieku, polityku i pisarzu, nie mogę zaniechać napisania w ogólności, co o nim myślę.

Studnicki był niewątpliwie postacią w życiu polskim wybitną. Mimo, że nie był dygnitarzem, członkiem rządu, dyplomatą, wodzem, a nawet nie był senatorem lub posłem do sejmu oraz mimo, że nie miał uznanej pozycji jako pisarz, myśliciel, czy autorytet naukowy lub polityczno-ideologiczny, odegrał on w najnowszych dziejach Polski rolę znaczną, wywierając wpływ niewidoczny i trudny do ścisłego zmierzenia, ale niewątpliwy i trwały.

Fakt, że człowiek taki, jak Studnicki, będący w jawnej, stanowczej, bezwzględnej opozycji wobec kierunków myślowych i politycznych, przeważających w narodzie polskim, a zarazem będący człowiekiem całkowicie niezależnym, nie związanym z żadną obcą agenturą, z żadną międzynarodową konspiracją, z żadną zorganizowaną grupą interesów materialnych, człowiekiem, krótko mówiąc, przebijającym się przez życie samotnie i w trudnej walce ze wszystkimi i wszystkim, a mimo to mógł przez czas tak długi — dużo dłużej niż przez pół stulecia — działać, pisać, być czytanym, wywierać wpływ, jest niewątpliwie w naszym życiu i cywilizacji zjawiskiem dodatnim. Biada narodom i społeczeństwom, które bez reszty poddają się przeważającej dziś w świecie modzie owczego pędu! Cywilizacja i polityczny ratunek ludzkości stoją nie na zorganizowanym owczym pędzie (zaganianym w jedno łożysko przez tak potężnych, a tak najczęściej bezmyślnych pastuchów, jak popularna prasa codzienna, radio czy kino), ale na ludziach umiejących iść odważnie i samodzielnie naprzekór temu, co bezmyślny motłoch zgodnym chórem wykrzykuje. Gdyby większą rolę zdołali w Niemczech w latach 1932-1939 odegrać ludzie, odważnie przeciwstawiający się Hitlerowi, nie spadłaby na Niemcy ta katastrofa polityczna i co gorsza nie stoczyłyby się Niemcy w tę otchłań katastrofy moralnej i barbarzyństwa, jaka się w końcu stała ich udziałem. Gdyby mocniejszym głosem umiano się w Polsce przeciwstawić bezmyślnemu wrzaskowi o Zaolziu i wspólnej granicy z Węgrami — nie byłby nadszedł, w tej formie, rok 1939. Gdyby w latach 1941-1945 odważniej w Anglii i Ameryce przeciwstawiano się surmom propagandy, uwielbiającej Rosję Sowiecką — Sowiety nie wisiałyby dziś, jako tak straszliwa groźba, nad światem. Fetysz „zgody narodowej" i ogólno-ludzkiej, posłuszeństwa w czynach i w myślach, zaniechania „opozycji", „partyjnictwa" itp. — to jest jeden z najgroźniejszych fetyszów dzisiejszej, nadmiernie zdyscyplinowanej epoki i wiedzie prostą drogą ku katastrofom w dziedzinie polityki i ku zastojowi i upadkowi na polu cywilizacji.

Studnicki był właśnie człowiekiem umiejącym nie poddać się dyscyplinie posłuszeństwa motłochowi (a także i rządowi). Był człowiekiem samodzielnym, odważnym i z charakterem. Przed jego zaletami charakteru należy uchylić czoła. Należy się również cieszyć, że ludzie tacy jak on w Polsce się rodzą i znajdują pole do działania.

Należy także podkreślić jego nieskazitelność, czystość pobudek, dobrą wolę, uczciwość, skromność. A wreszcie podnieść wzruszające ubóstwo, w jakim się przez życie przebijał i walkę swoją aż do późnej, a tak żywotnej i czynnej oraz pełnej ofiarnych trudów starości prowadził. Byłoby również niesprawiedliwością nie uznać jego wielkiego talentu, błyskotliwości jego pióra, obszernej erudycji i wiedzy, umiejętności samodzielnego myślenia, a wreszcie energii w działaniu. Studnicki niewątpliwie zostanie w dziejach myśli polskiej, jako pozycja wątpliwa politycznie, ale nie dająca się z rejestru wykreślić. Jako pozycja w rodzaju jakiegoś Fredry, tego Fredry z XVII stulecia, który głosił program rozbrojenia Polski i rozluźnienia jej budowy państwowej („Polska nierządem stoi"); program szkodliwy — ale sformułowany przez uczciwego i rozumnego człowieka, który w literaturze politycznej polskiej zdobył sobie miejsce trwałe.

Tyle od strony dodatniej.

A teraz — uwagi z dziedziny oceny ujemnej.

Wielką tezą Studnickiego, jego doktryną polityczną, podstawą i założeniem wszystkich jego poczynań oraz jego oryginalnością i jego odrębnym miejscem w polskiej myśli politycznej, była teoria, że Polska powinna się sprzymierzyć z Niemcami.

Otóż jest rzeczą pożądaną i zdrową, by rodziły się w Polsce myśli oryginalne i odrębne oraz, by nawet myśl na pozór fantastyczna została starannie przestudiowana i sprawdzona, choćby po to, aby tym skuteczniej została w końcu odrzucona; być może, także i to można zapisać Studnickiemu na plus, że podjął się on niewdzięcznego zadania obrony takiej właśnie idei fantastycznej i że przyczynił się — bezsilnością swoich wysiłków, mimo talentu i fanatycznego, całożyciowego poświęcenia, do wykazania, że idea ta jest zupełnie niewykonalna i błędna.

Każda rzecz pożyteczna ma w sobie przymieszkę pierwiastka szkodliwego. I odwrotnie.

Można w działalności Studnickiego odnaleźć pierwiastki użyteczne i twórcze, ale w ogólnym bilansie ocenić należy jego działalność jako szkodliwą. Życie jego przypadło na czasy niebezpieczne i burzliwe; działalność jego przyczyniła się w tych czasach do powiększenia zamętu i przyniosła przez to wiele dużej miary szkód.

Nieodpowiedzialnym, ale istotnym elementem doktryny Studnickiego było uznanie, że Polska jest za słaba i za mała na to, aby stać na własnych nogach i że musi ona pogodzić się z rolą niemieckiego wasala, bo w przeciwnym razie będzie wasalem rosyjskim, co jest jego zdaniem jeszcze gorsze.

Teza ta była bezsprzecznie niesłuszna. Niesłuszna z dwóch przyczyn. Po pierwsze, aby być czyimś wasalem, trzeba być za wasala przyjętym i w tej roli przez możnego protektora uznanym. Otóż zarówno przytłaczająca większość narodu niemieckiego, jak wszystkie w tym narodzie czynniki kierownicze i odpowiedzialne zgoła o tym nie myślą, by zawrzeć ugodę z Polską, choćby na zasadzie podporządkowania się Polski Niemcom w roli wasala, ale dążą do całkowitego unicestwienia polskiego narodu. Po wtóre, sama Polska być wasalem niemieckim nie może i w zbiorowym swym instynkcie zdecydowanie nie chce, dla tej przyczyny, że jest czymś na niemieckiego wasala zbyt dużym i w roli tej nie mogącym się pomieścić. Czy się to nam podoba, czy nie, dolą naszych dwóch narodów jest walka. Dopóki Niemcy u ujścia Wisły trzymały nas za gardło, grożąc uduszeniem zarówno strategicznie i politycznie, jak i we wręcz fizycznym (gospodarczym) znaczeniu i dopóki kładły łapę na takich centrach polskości, jak Poznań i Gniezno — nasze pogodzenie się z Niemcami było równie niemożliwe, jak czyjaś ugoda z napastnikiem, który nam chce odrąbać ręce oraz wykłuć oczy. Jeśli przyjdzie kiedyś pora na sąsiedzkie ułożenie się polsko-niemieckich stosunków — to dopiero po wywalczeniu sobie przez Polskę pozycji zupełnie równoprawnej, a więc po utrwaleniu się w długich walkach polskiego zwycięstwa nad niemieckimi dążeniami we wschodniej Europie. Perspektywa ta dzisiaj, po ustanowieniu granicy nad Odrą i Nysą, przybliżyła się nieco. Wciąż jednak jest perspektywą daleką.

Czy nam się to wydaje łatwe, czy trudne i czy się niebezpieczeństw z tym związanych boimy, czy nie, nie ma przed nami innej drogi, jak walczyć o naszą własną, zupełnie samodzielną pozycję i o to, by nie być niczyim wasalem. Studnicki odciągał nas od tej drogi — i przez to przyniósł wiele szkód. A był w swej postawie wyjątkowo zaciekły; w roku 1914 potrafił pod władzą niemiecką, czy austriacką, posunąć się w stosunku do tych, co byli przeciwnikami współdziałania z Niemcami, aż do czynów, na które nie ma innego określenia jak denuncjacja.

Studnicki uważał, że jest przeciwnikiem masonerii. Jest prawie pewne, że do niej nie należał. Wszelako w ciągu swego długiego żywota nigdy nie zadał sobie trudu, aby masonerię poznać i politykę jej zrozumieć. Co prawda, aby poznać i zrozumieć masonerię, trzeba stać na twardszym gruncie ideowym. Tym gruntem jest głęboka wiara i jest doktryna katolicka w pełnym, ortodoksyjnym ujęciu. Bez tych podstaw można zwalczając masonerię we własnym mniemaniu, mimowoli robić to, co odpowiada jej planom, a w końcu wpaść zupełnie w jej sidła. Przykładem ostatnim i jaskrawym jest Hitler, który niby zwalczał i to zażarcie masonerię, a ostatecznie zrobił dobry kawał roboty przez nią planowanej w Europie i w świecie.

Władysław Studnicki tego gruntu nie miał i w polityce polskiej dopomógł mimowoli osiągnąć kilka celów przez masonerię zamierzonych.

Niewątpliwie przyłożył mimowoli rękę do osłabienia Polski, do zdezorganizowania i wypaczenia jej polityki.

Studnicki twierdził o sobie, że właściwie jego uczniem był m. in. Piłsudski. Jest w tym ziarenko prawdy — ale o wiele mniejsze, niż można by sądzić z pozoru. Bo Piłsudski w istocie doktryny Studnickiego nie podzielał. Współdziałał on nieraz z Niemcami, ale było to raczej manewrowanie i lawirowanie. Lawirowanie między Niemcami a Anglią.

Piłsudski także uważał — wbrew rozpowszechnionym złudzeniom o jego polityce i „ideologii" — że Polska jest za słaba, aby stać na własnych nogach. Uważał on, że musi ona być czyimś wasalem, wplecionym w szeroko zakreślony system federacyjny, ale wasalem nie Niemiec, lecz Anglii.

Narodził się on politycznie w socjalistycznym ośrodku emigracyjnym w Londynie w końcu XIX wieku. W latach 1918-19 walczył z koncepcją Dmoskiego Polski samodzielnej i dużej i zrobił niezmiernie dużą robotę, niewątpliwie w porozumieniu z czynnikami brytyjskimi, w kierunku w praktyce pokrywającym się z planami Lloyd George'a (a jakie były te plany w odniesieniu do Polski — wystarczy czytać urzędową biografię Lloyd George'a). Niedawne rewelacje rosyjskiego „socjał-rewolucjonera" Czernowa o jego rozmowach tuż przed pierwszą wojną światową z Piłsudskim i z Jodką potwierdzają dawno żywione podejrzenie — oparte na roli pp. Askenazego, Zaleskiego i innych w Londynie — że ruch zbrojny Piłsudskiego w wojnie po stronie niemieckiej dokonany był za cichym przyzwoleniem niektórych czynników angielskich.

Trzeba tu dodać, że Anglia zarówno w r. 1900 czy 1904, jak w 1914 czy 1919 gotowa była sprawę polską w ograniczonym zakresie popierać, pod warunkiem jednak, by nie wyrosła ona do zbyt dużych rozmiarów. Dla ówczesnej polityki angielskiej zagadnienie polskie było funkcją zagadnienia rosyjskiego. Polska była potrzebna — na równi z Łotwą, czy Ukrainą, czy z muzułmanami turkiestańskimi — jako narzędzie do osłabiania Rosji. Jednak jako siła samodzielna i znaczna była niepożądana i szkodliwa, bo mogła wyrosnąć jako bariera między Niemcami i Rosją i zamknąć drogę ekspansji Niemiec na wschód, tym samym popychając żywotny naród, jakim są Niemcy, do rywalizacji z Anglią na morzach i rynkach światowych.

Nie będę tu powtarzał rzeczy oczywistej, że politykę Piłsudskiego, we wszystkich jej fazach, okresach i postaciach, oceniam — ze stanowiska polskiego — w najwyższym stopniu negatywnie. Nie mogę się jednak zgodzić z poglądem, by była to polityka całkiem identyczna z polityką propagowaną przez Studnickiego. Myślę, że z dwojga złego, nawet polityka Piłsudskiego była od polityki Studnickiego lepsza.

Co prawda, różniły się obie od siebie mniej w praktyce, niż w teoretycznym punkcie wyjścia. Bo Polska w stylu polityki Lloyd George'a z natury rzeczy była w dużym stopniu w zasięgu wpływów niemieckich, a federacja w stylu Piłsudskiego (to znaczy w stylu angielskim) byłaby w innej postaci urzeczywistnieniem systemu traktatu brzeskiego.

Jędrzej Giertych

KAZIMIERZ OKULICZ

ADAM RONIKIER

Daleko od ojczyzny, nad jeziorem Michigan w Stanach Zjednoczonych zmarł jesienią roku ubiegłego w wieku 71 lat Adam hr. R o n i k i e r, działacz polityczny i społeczny, który dwukrotnie, jako prezes Rady Głównej Opiekuńczej w latach pierwszej i drugiej wojny światowej odegrał w Kraju, podczas obu okupacji niemieckich, rolę pierwszorzędną. Człowiek, którego nazwisko znane było w Kraju każdej rodzinie, dotkniętej wojną i terrorem niemieckim, który każdej z nich niósł poprzez stworzoną przez siebie instytucję pomoc w takiej czy innej formie, — zmarł na obczyźnie, niemal w zapomnieniu i, gdyby nie pomoc duchowieństwa katolickiego, w niedostatku. Człowiek, który jako prezes Rady Głównej Opiekuńczej oblegany był od rana do wieczora przez ofiary wojny i terroru okupanta, poszukujące u niego bądź doraźnej pomocy, bądź zarobku, bądź interwencji u władz okupacyjnych, bądź, wreszcie, po prostu rady i pociechy w nieszczęściu, — człowiek ten, który pośród ludzi, działających na p o w i e r z c h n i życia ówczesnego był postacią najbardziej czynną i eksponowaną, okazał się w pewnej chwili na obczyźnie bez dachu nad głową, bez opieki i środków do życia. Zaofiarowali mu wreszcie, dowiedziawszy się o jego sytuacji, stałą gościnę i opiekę polscy księża z ośrodka katolickiego w Orchard Lake. Wielka wdzięczność należy się ks. rektorowi Szumalowi i jego współpracownikom z Orchard Lake za pomoc i gościnę okazane ś.p. Ronikierowi w ostatnich latach jego życia.

Ostatnich 13 lat tego życia oraz wszystko, co posiadał, poświęcił ś. p. Ronikier polskiej sprawie publicznej, przede wszystkim humanitarno-ratowniczej w najcięższych warunkach hitlerowskiej okupacji i terroru. Nie mogli mu wdzięczności wyrazić ci wszyscy bardzo liczni, którzy pomocy od niego doznali, a nierzadko i życie mu zawdzięczali, masa ich bowiem pozostała w Kraju. Mogły wprawdzie i powinny były to uczynić w tamtych i w swoim imieniu czynniki na obczyźnie Kraj reprezentujące. Nie doznał jednak Zmarły i od nich należnej mu podzięki za swą wielką i skuteczną pracę ratowniczą.

S.p. Ronikier pozostawił w rękopisie obszerne pamiętniki z okresu 1939 — 1945 oraz obfitą korespondencję z kilku przyjaciółmi. Ta cenna i jedyna spuścizna Zmarłego obejmuje sprawozdanie z jego 5-letniej wytężonej, niebezpiecznej i dramatycznej pracy pod okupacją, pracy, którą można porównać z chodzeniem z uśmiechem i z podniesioną głową po linie zawieszonej nad przepaścią. Wspomnienia te rzucają światło na życie w Polsce podczas okupacji 1939-1945 od strony najmniej społeczeństwu znanej, bo od strony w a l k i c y w i l n e j, wymagającej męstwa i spokoju ducha, czujności i wytężonej gry, aby prowadzić pracę ratowania, gdzie się tylko da, biologicznej substancji narodu, niszczonej bezwzględnie przez okupanta, ale i szafowanej zarazem ponad miarę i ponad potrzebę przez rozkazy i zachęty z zewnątrz. Ktokolwiek w latach wojny nie tylko widział zewnętrzne przejawy działalności Ronikiera, ale również znał i mógł ocenić jej wewnętrzne pobudki, nie może wątpić w ostateczny werdykt historii.

Pochodził Adam Ronikier z bardzo starej rodziny pomorskiej, urodził się na Litwie z matki Węcławowiczówny z domu, ożeniony był z Jadwigą hr. Platerówną-Zyberk. Miał czterech synów i córkę.

Nie mając jeszcze lat 40 podczas pierwszej wojny światowej stanął na czele Rady Głównej Opiekuńczej, instytucji opiekuńczej i ratowniczej w okupowanej Polsce, stworzonej przy wielkim poparciu Ameryki. Był też czynnym politycznie w zespole ludzi, usiłujących wznieść pierwsze zręby państwowości polskiej na podstawie aktu z 5 listopada 1916. W roku 1918 został przez Radę Regencyjną wydelegowany do Berlina jako pierwszy dyplomatyczny przedstawiciel tworzącego się jeszcze w warunkach okupacji państwa. Była to misja niewdzięczna i w paru latach następnych stała się powodem atakowania go jako „germanofila". W okresie niepodległości ś. p. Ronikier zajmował się różnymi przedsiębiorstwami (z zawodu był architektem), w życiu politycznym czynniejszego udziału nie brał, utrzymywał jednak bliskie stosunki z szeregiem polityków różnych odcieni, m. i. szczególnie bliskie z Paderewskim.

W październiku 1939 zjawili się u niego w Warszawie dwaj przedstawiciele Hooverowskiego Komitetu Pomocy Polsce w Stanach Zjednoczonych i oświadczyli, że znając jego działalność jako prezesa RGO w czasie poprzedniej wojny, zwracają się do niego o wznowienie tej instytucji i obiecują wydatną pomoc amerykańską. Od tej chwili rozpoczęła się niewiarygodnie trudna, niebezpieczna i energiczna akcja tworzenia wielkiej społecznej p o l s k i e j instytucji opiekuńczej w tzw. Generał-Gubernatorstwie w warunkach jakże niepodobnych do tamtej okupacji z lat 1915-1918. Duszą, oparciem i nieustannie czynnym motorem tej instytucji był jej prezes Adam hr. Ronikier.

Była to indywidualność wybitna i uzdolniona. W tej dość skomplikowanej naturze ścierały się jednak różne pierwiastki i czasem krótkotrwałe impulsy. Różnolitość jej składników cementowały zawsze dwie zasadnicze cechy: głęboka religijność i gorący patriotyzm. S.p. Ronikier miał umysł, zainteresowania i temperament polityka. Nie uprawiał jednak żadnej własnej polityki w znaczeniu ogólnym, a jeżeli miewał spory z władzami podziemnymi, to wynikały one na tle rozbieżnego pojmowania metod i sposobu postępowania z władzami okupacyjnymi w zakresie akcji opiekuńczej i ratowniczej. Kontrowersje wynikały z samego faktu, że prezes RGO musiał działać jawnie, na powierzchni ówczesnego dramatycznego życia, podczas kiedy władze podziemne działały metodami zgoła innymi, metodami konspiracyjnymi i skłonne były oceniać jego postępowanie pod kątem własnych kryteriów i metod. Stojąc na czele instytucji jawnej, opartej częściowo na funduszach publicznych i pomocy amerykańskiej w naturze, a po wybuchu wojny Niemiec ze Stanami Zjednoczonymi na składkach dobrowolnych społeczeństwa, instytucji przez okupantów kontrolowanej i obserwowanej, poprzetykanej ludźmi jednocześnie czynnymi w ruchu podziemnym, musiał prezes Ronikier mieć ciągle do czynienia i liczyć się z władzami okupacyjnymi, jako z faktyczną władzą, od której istnienie instytucji zależało.

Natomiast Ronikier uchylał się z reguły od sugerowanych mu nieraz wystąpień, mogących mieć znaczenie polityczne i został z prezesostwa RGO przez władze niemieckie usunięty a następnie aresztowany właśnie za odmowę takiego wystąpienia. Gdy go pewien wyższy urzędnik niemiecki, znany mu jeszcze z poprzedniej wojny, zapytał przy spotkaniu, jak to być może, że będąc politykiem odgradza się od polityki, odpowiedział, że jego obecną polityką jest właśnie nie robić żadnej polityki.

Ale zachowanie w warunkach okupacji apolitycznej linii postępowania w stosunkach z Niemcami było dla prezesa RGO zadaniem niezwykle trudnym. RGO była jedyną jawną organizacją s p o ł e c z n ą polską i każde nowe zarządzenie władz okupacyjnych obijało się o nią, jak obija się o skałę każda fala wzburzonego dokoła niej morza. Sami Niemcy, zniszczywszy całą organizację państwową i społeczną polską, zaczęli w miarę ewolucji ich polityki pod wpływem niepowodzeń wojennych uważać RGO za reprezentację ipso facto elementarnych interesów społeczeństwa polskiego i do niej się w tego rodzaju sprawach zwracać. Prezes Ronikier zawsze uchylał się od tej roli. Ale nigdy, wbrew rozsiewanym jakiś czas pogłoskom, nie proponowali mu Niemcy utworzenia czegoś w rodzaju rządu czy komitetu politycznego polskiego, mającego współpracować z Niemcami.

Trudność kierowania taką instytucją jak RGO powiększała jeszcze dwutorowość władz okupacyjnych. Formalnie miała ona do czynienia i poddana była kontroli władz administracyjnych, w rzeczywistości jednak wszystko zależało od władzy policyjnej (Gestapo), która była władzą samodzielną, od administracji niezależną i w zakresie stosunku do ludności instancją ostateczną. Istniał nawet zakaz interweniowania RGO w sprawach represji, ale prezes Ronikier ciągle przeciwko temu zakazowi wykraczał, narażając się w każdej chwili na wszystko, co rozbestwionemu satrapie mogło przyjść do głowy w stosunku do tego nieposłusznego interwenienta. A wciąż ktoś z personelu społecznego i urzędniczego RGO padał ofiarą represji. To tu, to tam powstawały luki, trudne nieraz do wypełnienia z powodu obaw ludzi do jawnej pracy w instytucji, tysiącem nici powiązanej z życiem podziemnym.

Byłem świadkiem, a parę razy i uczestnikiem krytycznych sytuacji A. Ronikiera jako prezesa RGO w stosunku do okupantów. Podziwiałem wtedy jego odwagę, spokój ducha, szybkość orientacji i lotność myśli. Robił w takich chwilach wrażenie rasowego konia gorącej krwi przed połyskującą wstęgą startera wyścigowego. Jego dialektyka w stosunkach towarzyskich i urzędowych, umiejętność zaskoczenia oryginalną odpowiedzią, błyśnięcia metaforą, miały w sobie coś tak samo wielkopańskiego, staroświeckiego, jak jego wytworność i uprzejmość w stosunku do ludzi. W latach tej bezprzykładnie ciężkiej okupacji, w dużym pokoju na parterze pałacyku Pusłowskich w Krakowie, będącym jednocześnie pracownią i sypialnią Ronikiera, odbywały się często dyskusje i rozważania w gronie około dziesiątka osób o sprawach polskich, dyskusji, takim idealizmem przeniknięte i na takim poziomie utrzymanych, że pozostaną one zawsze w pamięci uczestników, jako jedno z tych głębokich przeżyć, w które obfitował okres okupacji, okres codziennej grozy i czujności, heroizmu i tragedii, okres, który miał swoich apologetów, lecz nie miał jeszcze swego dziejopisa.

— — — — — — —

S.p. Ronikier był jednym z tych nielicznych naówczas ludzi, którzy wcześnie rozpoznali nadciągające niebezpieczeństwo g ł ó w n e. Miał oczy otwarte na idącą od wschodu nawałnicę, widział jednocześnie odruchową naiwną wiarę ogółu w to, że nasi zachodni sojusznicy nie dopuszczą, aby ogarnęła ona ziemie polskie i zdławiła władze podziemne wraz z ich siłami zbrojnymi. W zimie 1943/44 miał Ronikier dłuższą rozmowę z agentem państw zachodnich przejeżdżającym tajnie przez Warszawę. Rozmowę tę podaje szczegółowo w swoich pamiętnikach. Emisariusz ten potakiwał uprzejmie, gdy była mowa o polskiej postawie wobec terroru niemieckiego, o bohaterstwie walki podziemnej i jej wynikach, w pewnej jednak chwili wtrącił: „Tak, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego wy, poniósłszy już tak wielkie straty, wciąż jeszcze strzelacie do trupa?"

Było to ciekawe potwierdzenie tezy Ronikiera i innych, nielicznych, że p o l i t y c z n e zagrożenie Polski od strony Niemiec maleje z dniem każdym, rośnie natomiast szybko od strony Sowietów. Jasnym było, że dla jego odparcia potrzebne są bardziej realne środki, niż domniemana interwencja zachodnich sojuszników, którzy w Moskwie i Teheranie już swe zobowiązania wobec Polski byli złamali. Ale środków takich faktycznie nie było. Kraj, rozpalony walką z nieprzytomnym terrorem już w gruncie rzeczy pobitego hitleryzmu, ufał im niezachwianie. Nie było rzeczą trudną przewidzieć dalszy przebieg polskiej tragedii. Przeżył ją Ronikier ciężko, właśnie dlatego, że ją zawczasu dostrzegał, a opuszczając Polskę, złożył przyrzeczenie poświęcenia reszty sił i życia na obczyźnie dla walki o wyzwolenie ojczyzny.

Przyrzeczenie swoje Ronikier spełnił, a nie jego było winą, że swoich zamiarów nie zdołał zrealizować. Prześladowały go choroby, niewdzięczność i niechęć ludzka, brak środków i niedostatek, ale te wszystkie przeszkody nie zdołały go zniechęcić do działania. W Rzymie w r. 1946, przy życzliwej pomocy gen. Andersa, wznowił R.G.O., jako instytucję mającą organizować pomoc uchodźcom polskim na całym świecie i uzyskał poparcie Hoovera. Ewakuacja 2 Korpusu przerwała te prace. Nie znalazłszy w Londynie poparcia dla swoich planów, wyjechał do Stanów Zjednoczonych i tam był bliski ich urzeczywistnienia. Ale powstały rozmaite trudności wśród tych sfer, na których jedynie mógł swe zamierzenia oprzeć i rozbiły dobrze zapowiadające się dzieło.

Przerzucił się następnie niezrażony Ronikier do akcji politycznej i organizował biuro studiów, mające na celu otwieranie oczu Ameryce i innym narodom na niebezpieczeństwo sowieckie i na konieczność odepchnięcia Rosji do jej granic naturalnych. Brak środków niweczył wszelkie plany, a próby ich uzyskania od czynników polsko-amerykańskich zawiodły. Mimo niepowodzeń wszczynał parę innych jeszcze inicjatyw, lecz słabnące siły, choroby i niedostatek nie pozwoliły mu w warunkach amerykańskich uzyskać dla nich poparcia. Jak pisał do jednego z przyjaciół Zmarłego ks. prałat J. Szumal, o ostatnich miesiącach jego życia: „Myśląc o Polsce, pracował dla niej stale, starając się wykorzystać w tym celu każdą sposobność, każde wydarzenie i każdy kontakt, choćby najmniejszy. Był zdania, że nigdy nie wiadomo z jakiej drobnostki może wyłonić się rzecz wielka". Wiosną r. ub. po nowych zawodach nastąpił kryzys wytrzymałości fizycznej i psychicznej tej wyjątkowo aktywnej natury. Stało się to na szczęście już wtedy, gdy Ronikierem zaopiekowali się księża z Orchard Lake. Położyli go więc do łóżka, otoczyli troskliwą opieką. Od kwietnia 1952 przestał pisywać do przyjaciół a dnia 5 września zakończył pracowite i bogate życie.

W pamięci tych, którzy go dobrze poznali w szczytowym okresie jego pracy publicznej, w latach strasznej okupacji hitlerowskiej w Polsce, w pamięci jego bliskich współpracowników z owego okresu i prawdziwych przyjaciół pozostanie ś.p. Adam Ronikier jako gorący patriota, człowiek dzielny i mężny, działacz niezmordowany, który dobrze zasłużył się ojczyźnie w najcięższych dla niej latach. Cześć jego pamięci!

Kazimierz Okulicz

PRZEPISY KONSTYTUCJI „CHRISTUS DOMINUS" ODNOŚNIE DUCHOWIEŃSTWA

W uzupełnieniu artykułu w poprzednim numerze ŻYCIA o postanowieniach konstytucji apostolskiej „Christus Dominus" z 6 stycznia 1953 r. podajemy, że do duchowieństwa odnosi się norma pierwsza, która stwierdza, iż obecnie obowiązuje zasada, że woda naturalna (do której niczego nie dodano) nie łamie postu eucharystycznego. Norma druga określa, że chorzy kapłani, nawet nie-leżący, mogą korzystać z dyspensy normy drugiej, czy to mają odprawiać Mszę św. czy też przyjąć Komunię św.

Normy trzecia i czwarta odnoszą się tylko do duchowieństwa. Duchowni nie-chorzy, którzy a) albo w późniejszych godzinach (to znaczy po godzinie dziewiątej), b) albo po ciężkiej pracy duszpasterskiej (np. od wczesnego rana lub przez długi czas), c) albo po długiej drodze (to jest przynajmniej około 2 km piechotą lub proporcjonalnie dłuższej, zależnie od różnych środków lokomocji, przy czym należy brać pod uwagę drogę i osobę ją odbywającą) — mając odprawić Mszę św., mogą raz lub kilka razy przyjąć trochę napojów, z wyjątkiem alkoholowych, z zachowaniem postu eucharystycznego przynajmniej na godzinę przed odprawianiem Mszy św.

Tylko w tych trzech wymienionych wypadkach prawodawca dyspensuje i dlatego w żaden sposób nie wolno szerzej interpretować tego postanowienia.

Wszyscy duchowni, którzy mają odprawić dwie lub trzy Msze św., mogą w poprzednich Mszach św. przyjąć obydwie przepisane rubrykami ablucje, ale przy ablucjach może być użyta tylko woda, która — stosownie do nowej zasady — nie łamie postu eucharystycznego. Kto jednak odprawia bezpośrednio po sobie trzy Msze św. w uroczystość Bożego Narodzenia lub w Dzień Zaduszny, musi zachować dotychczasowe rubryki co do ablucyj.

Gdyby kapłan, którzy powinien odprawić dwie lub trzy Msze św., przez nieuwagę przyjął także wino w czasie ablucji, może celebrować drugą i trzecią Mszę św.

Kapłan mający odprawiać Mszę św. w godzinach popołudniowych może na trzy godziny przed rozpoczęciem Mszy św. spożyć normalny posiłek przy użyciu w umiarkowanej ilości zwyczajowo używanych napojów alkoholowych np. wina, piwa, z wykluczeniem jednak wódek. Przed tym posiłkiem lub po nim może przyjąć trochę napojów, z wyjątkiem alkoholowych, najpóźniej jednak na godzinę przed Mszą świętą.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 15 lutego 1953 r.

NOWE KSIĄŻKI

„LEŚNIK"

Tę powieść trzeba oznaczyć trzema gwiazdkami albo trzykrotnym „Est", jak wino z Montefiascone. Est — pełnej krwi powieść polska, folblutka. Est — powieść w stylu nowoczesnym, światowym. Est — jubilerska finezja prozy. Est, est, est!

„Leśnik" Marii Kuncewiczowej pochodzi z wielkiego powieściowego rodu „Komedii ludzkiej". Jest to rzecz o ludziach, którzy zło biorą za dobro, a dobro za zło i wszystko dobro widzą w sobie samych a wszystko zło w innych, siebie tylko mając za sędziów nieomylnych. Komedia ludzka i tragedia zarazem — zależnie od zmysłu moralnego pisarza, pod którego piórem wstają z żywych postacie fikcji literackiej. Dla Balzaka świat ten był komedią, dla Mauriaca jest otchłanią tragizmu, dla Evelyna Waugh smutną groteską.

Polski teatr życia jest najszczerszą tragedią, ale od mistrzostwa pisarskiej ręki zależy, aby w nim wytropić również własną winę i własne zło. Dokonała tego z wielką odwagą, godną umiejętności pisarskich, Maria Kuncewiczowa w „Leśniku".*)

Choć akcja powieści toczy się przeważnie na Polesiu, jesteśmy w sercu spraw polskich. Dotykamy najczulszego nerwu, istoty duszy narodowej. Sprawę tę wypowiada w słowach nieociosanych kapłan poleski, ks. Lwigórski: „...Co byś, człowieku, nie zrobił Polakiem będąc, nie jedną ma ludzką nazwę, ale piętnaście nazw. Polakiem jesteś? Mało! Koroniarzem być musisz... Chlebodawcy swojemu uczciwie służysz, nie sługą, ale zdrajcą jesteś, bo twój chlebodawca carowi służy. Opryszek na twój dom napadł, nie broń się, bo może ktoś kiedyś powstańcem go ogłosi... Księdzem jesteś? Mało! Patriotą być musisz. Jesteś, księże, patriotą? Biskup ci powie: bij się w piersi, grzeszniku! Bogu nie wszystko oddajesz, co Boskie."

To powikłanie straszliwe, ów gordyjski węzeł polskości ukazuje Kuncewiczowa, na szczytach społecznych i na dołach. Trudność bycia Polakiem wynika oczywiście z naszych dziejów i powstałych z nich warunków. Ale w „Leśniku" problemem nie jest naród, lecz jednostka, dusza, uciskana ciężarem atmofer społecznych.

Powieść przedstawia daremność wysiłków, aby człowiek w Polsce mógł pójść własną, ludzką drogą. Obejmą go niechybnie wiry i poniosą z prądem, któremu nie zdoła się sprzeciwić siła ludzkich ramion. Każdy krok, każdy czyn, każde słowo mają w Polsce rezonans społeczny. Służą bez wiedzy ich sprawców, albo na ich korzyść albo przeciw nim, zależnie od okoliczności, od środowiska, gdzie się zdarzyły, od obecności przy tym innych ludzi. Bohaterstwo graniczy z łotrostwem, zdrada sąsiaduje z całopalną ofiarą, egoizm z poświęceniem.

Odwieczny problem powiązania jednostki z powszechnością ukazała Kuncewiczowa w niezwykle ostrym świetle przez pryzmat spraw polskich.

Barw krwawej łuny dostaje ów tragizm polskości ponadto od gwiazd poleskich. Białoruska gwara, którą posługują się ludzie „Leśnika", brzmi patosem antycznej tragedii. Maria Kuncewiczowa wprowadziła do literatury polskiej gwarę polsko-białoruską nie jako element humoru lub kolorek lokalny, ale jako niezastąpiony instrument psychiczny. W języku literackim nie można by wyrazić tak celnie, tak głęboko, tak barwnie i tak zwięźle tych treści, jakie wypowiadają ludzie tej powieści. Poleski dialog „Leśnika" jest mistrzowskim osiągnięciem Kuncewiczowej, zarówno formalnym, jak i przedmiotowym. Bodaj po raz pierwszy użyto w polskiej prozie gwary nie celem zacieśnienia, lecz poszerzenia rozmiarów duszy.**) Do dramatu wprowadzili gwarę w tym celu Wyspiański (Sędziowie, Wesele) i Rostworowski (Niespodzianka).

„Leśnik" jest powieścią nowoczesną, pokrewną w technice wybitnym dziełom literatur zachodnich. A więc zwięzłą, syntetyczną, aż do oschłości obiektywną. Nie ma w niej miejsca na rozwlekłe opisy, na komentarze akcji ni na wywody psychologiczne. Akord kilku zdań lub nawet potrącony klawisz jednego wyrazu wyrażają skomplikowane nieraz treści. Im literatura staje się starsza, tym jest oszczędniejsza i prostsza w wyrazie. Literatura frazesu staje się coraz bardziej literaturą przeżycia. Akcja nowoczesnej powieści rozwija się poprzez krótkie, lecz wyraziste obrazy i przez giętki dialog. Stany psychiczne rysuje się w dzisiejszej powieści kreskami, a nie tonami oleju. Szerokie pole pozostawia się domyślności i inteligencji czytelnika.

Taki jest właśnie „Leśnik". W twórczości Kuncewiczowej oznacza ta powieść duży przełom. W porównaniu z „Cudzoziemką" czy „Zmową nieobecnych" jest niemal syntetycznym olejkiem wobec ogrodu różanego. Może to i znamię czasu, bo niegdyś powieści czytało się latami, zabierało się je na długą podróż w życie, podczas gdy dziś proza ma spełniać rolę błyskawicy, oświetlającej ciemności, w których człowiek brodzi.

Kreska, którą skreślony jest „Leśnik", wcale nie oznacza rezygnacji z bogatej palety stylu. Pisarka posiada własne tajemnice mieszania barw, aby rzucić na papier kolory niezrównane. Zawsze miała skłonność do salonów, puzderek i serwantek, miłość drobiazgu, toteż z zachwytem i podziwem czyta się teraz jej prozę chłopską, leśną i myśliwską.

„Leśnik" kończy się sielankową sceną, która pokrywa patetyczny dramat. Toczy się on głębinowym nurtem poprzez całą powieść. Jest nim konflikt między osobistą ludzkością a patriotyzmem. Kazimierz Krzysztofowicz przegrał swą walkę o wejście w szeregi patriotów, ale odnalazł świętość człowieka we własnej matce. Wybrał tę świętość, związaną z głuchą leśniczówką w poleskiej puszczy, aby mieć dość sił dla zniesienia tragicznego przywileju polskości.

Jan Bielatowicz

*) **Maria Kuncewiczowa LEŚNIK. Powieść. Paryż 1952. „Kultura" zeszyty 7/8 (57/58).**

) **Uprzedzając zarzut klasyków literatury, że dusza nie posiada rozmiarów, powołuję się odrazu na „Księgi pielgrzymstwa": „O ile p o w i ę k s z y c i e i polepszycie duszę Waszą, o tyle polepszycie prawa Wasze i powiększycie granice Wasze." (rozdział XX).

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

DUSZPASTERZ POLSKI ZAGRANICĄ. Rocznik 1952, złożony z czterech zeszytów kwartalnych. Cum approbatione auctoritatis ecclesiasticae. Roma, Via delle Botteghe Oscure, 15. Wydano jako manuskrypt. Stron 565 i nl. 4 winiety z obrazami N. M. P. Ryciny w tekście.

Franciszek Pułaski BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU W LATACH 1893-1948. Z przedmową Kamila Gronkowskiego. Paryż 1948. Stron 244, liczne fotografie. Na prawach rękopisu (hors commerce).

Instytut Historyczny Im. Gen. Sikorskiego WYKAZ POLEGŁYCH I ZMARŁYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH NA OBCZYŹNIE W LATACH 1939-1946. Przedmowa gen. Wł. Andersa. Londyn 1952. Stron 372.

KULTURA. Numer specjalny: RAMY ŻYCIA W POLSCE. Praca zbiorowa zorganizowana przez Ośrodek Badań Europy Wschodniej pod redakcją: Stanisława Gryziewicza, Jana Jodzewicza, Leonarda Rudowskiego i Wojciecha Zaleskiego. Instytut Literacki, Paryż, marzec 1952. Stron 404.

Omówienie krajowego zeszytu „Kultury" znajdzie się w jednym z najbliższych numerów ŻYCIA.

Antoni Nowak THE PATTERN OF LIFE IN POLAND. Mid-European Research and Planning Centre, 6, Quai d' Orleans, Paris IV, 1952 (February to September).

I. Antoni Nowak PRELIMINARY NOTES ON POLITICAL INSTITUTIONS IN POLAND. Stron 52.

II. Antoni Nowak THE SUPREME ORGANS OF AUTHORITY. Stron 80.

III. Tadeusz Sulimirski PRIMARY, SECONDARY AND ADULT EDUCATION. Stron 42.

IV. Tadeusz Sulimirski THE UNIVERSITIES, PROFESSIONAL EDUCATION AND SCIENCE. Stron 66.

V-VI. Władysław Dunin-Borkowski and Alexandra Stypułkowska THE ADMINISTRATION OF JUSTICE; Jan Szułdrzyński THE FAMILY. Stron 74.

VII. J. B. Poray and O. S. Żeromska ART AND LITERATURE. Stron 76.

VIII. M. L. Danilewicz PERIODICAL AND NON-PERIODICAL PUBLICATIONS. Stron 48.

IX. W. Zaleski THE PARTY SYSTEM. Stron 70.

X. J. Jaklicz THE ARMED FORCES. Stron 60.

XI-XII. S. Gryziewicz LABOUR LEGISLATION; AGRICULTURE. Stron 56.

XIII, XIV, XV. J. M. Biliński TRADE UNIONS; S. Wiktorowicz STATE-OWNED INDUSTRIES; W. Kowalczyk STATE-CONDUCTED COMMERCE. Stron 122.

Roman Dąbrowski STO DNI MUSSOLINIEGO. Składnica Książki Polskiej. Buenos Aires, 1952. Okładka projektu L. Wiecheckiego. Stron 328.

Dr Lidia Ciołkoszowa GEN. WALERY WRÓBLEWSKI. Two Wydawnicze „Światło". (Paryż), 1952. Stron 32.

Zygmunt Zaremba SZEŚĆDZIESIĄT LAT WALKI I PRACY P. P. S. Szkic historyczny. Wyd. Centralny Komitet Zagraniczny PPS. (Londyn 1952). Stron 36.

Michał Pawlikowski DWA ŚWIATY. Komitet Wydawniczy „Dwa Światy". Skład główny: Veritas Foundation Publication Centre. Londyn 1952. Stron 506. Sześć map wielobarwnych. Okładka płócienna, dwukolorowa obwoluta.

Zofia Kossak BŁOGOSŁAWIONA WINA. Powieść. Biblioteka Polska. Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. Veritas. Londyn 1953. Stron 194. Płócienna okładka, obwoluta kolorowa, ilustrowana, projektu Janiny Tafelskiej.

C. Wierzyński LA VIE DE CHOPIN. Preface d'Arthur Rubinstein. Traduit de l'anglais par Genevieve Melcer. Paris, Robert Laffont, 1952. Stron 424. Okładka barwna, portret Chopina.

Stefania Zahorska STACJA ABBESSES. Rysunki Feliksa Topolskiego. Oficyna Poetów i Malarzy. Na emigracji w Anglii (Mabledon Park), 1952. Stron 124. Okładka kartonowa dwukolorowa, ilustrowana. Wydanie bibliofilskie w 355 egzemplarzach. Arkusze niezszywane.

Juliusz Zeyer WYGRANA MIŁOŚĆ (ROKOKO). Tłumaczyła Maryla Wolska. Ilustracje Leli Pawlikowskiej. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas. Londyn 1952. Stron 60. Okładka ilustr.

Ref-Ren BATIARY czyli lwowskie rozmówki Józka, Minci i Cioci Badylakowej. Cykl audycji nadany przez Radio Paryż. Londyn 1952. Stron 32, okładka ilustr. barwna.

Tomasz Dobrzyński PROBOSZCZ ŚLĄSKI. Wspomnienia. Wydane na prawach rękopisu. Londyn 1952. Stron 152. Na okładce fotografia kościoła śląskiego.

ROCZNIK POLONII, POLES ABROAD YEAR BOOK & DIRECTORY 1953. Commonwealth Edition. Taurus Publishers Ltd., 95 Black Lion Lane, London, W. 6. Redaktor naczelny: Bohdan Olgierd Jeżewski. Stron 136, okładka kartonowa.

KALENDARZ FRANCISZKAŃSKI NA ROK 1953. Nakładem i drukiem Wydawnictwa OO. Franciszkanów, Pulaski, Wis., St. Zjedn. A. P. Stron 128, duża osemka, liczne ilustracje, okładka kolorowa ilustr.

KALENDARZYK POLAKA W W. BRYTANII 1953. Adres wydawcy: 775, Harrow Rd., London, N. W. 10. (Format kieszonkowy: Dział informacyjny, kalendarium z diariuszem). Stron tekstu 60.

Szymon Konarski KANONICZKI WARSZAWSKIE 24. IV. 1744 — 13. VIII. 1944. Wydane pod patronatem Międzynarodowej Akademii Heraldycznej w Paryżu. Paryż 1952. Stron 272, quarto. Herby na kartuszach projektu Franciszka Prochaski rysowała Janina Bouquet. Wydanie bibliofilskie.

JEDNOŚĆ — SPRAWĄ NAJWAŻNIEJSZĄ. Przemówienie gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Nakładem Zarządu Głównego Związku Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych. Londyn, 1953. Stron 32. W tekście fotografie z pobytu generała w Londynie.

Zofia Bohdanowiczowa HISTORIA O MACIUSIU I LOKOMOTYWIE. Wydawnictwo Komitetu Red. miesięcznika „Dziatwa" przy Zjednoczeniu Polskim w W. Brytanii. Londyn 1952. Stron 32. Druk dwubarwny. Teksty ilustrowane.

Wiesław Wohnout RZĄD, RADA NARODOWA, SKARB NARODOWY. Uwagi i wyjaśnienia. Biblioteczka polityczna „Spraw Polskich" nr 1. Nakładem „Spraw Polskich". Londyn, 1952. Stron 32.

Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii TEKI HISTORYCZNE. Tom V. Nr 3 — 4. Londyn 1952. Stron 116, dwie ryciny w tekście.

Treść: X. W. Meysztowicz: Współczesny wizerunek Chrobrego; Jakub Hoffman: Uwagi do wczesnohistorycznych dziejów Wołynia. Recenzje (m.in. The Cambridge History of Poland). Polemika. Nekrologia. Kronika. Résumés.

KALENDARZ „LUDU" NA ROK 1953. Rocznik 25. Curitiba, Parana. Stron 200, liczne zdjęcia i ryciny w tekście. Okładka kolorowa ilustrowana projektu Czesława Romaszki.

Kalendarz poświęcony jest uczczeniu trzech jubileuszów: stuleciu emancypacji Parany, osiemdziesięcioleciu kolonizacji polskiej w Paranie i pięćdziesięcioleciu pracy duszpasterskiej zgromadzenia polskich księży misjonarzy w Paranie.

Zdzisław Stahl SYSTEM DMOWSKIEGO WCZORAJ I DZIŚ. Gryf Publications Ltd. London 1953. Str. 88.

Marian Kukiel KURS DZIEJÓW POROZBIOROWYCH POLSKI. (Czasy walk zbrojnych o przywrócenie państwa 1795 — 1865). Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Londyn 1953. Stron 176.

Podręcznik akademicki dziejów porozbiorowych, pierwszy w polskiej literaturze historycznej.

KULTURA. II NUMER KRAJOWY. Instytut Literacki, Paryż. Październik 1952. Stron 240.

Napoleon Sądek KAMIENICZNIK. Komedia w jednym akcie. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas. Londyn 1953. Stron 16.

Kazimierz Sosnkowski SYTUACJA ŚWIATOWA NA TLE AGRESJI SOWIECKIEJ. Instytut Józefa Piłsudskiego Poświęcony Badaniom Najnowszej Historii Polski, Oddział w Londynie. 1952. Stron 30. Z portretem autora.

POLONIA. Monthly. No. 1. Nairobi 15th January, P. O. Box 1889. Price 1 sh.

Nowy miesięcznik polski w stolicy Kenii wychodzi 15 każdego miesiąca. Adres dla prenumeraty: Atheneum Bookshop and Publication Centre, P. O. Box 1889, Nairobi.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

SABATYŚCI I KARA ŚMIERCI

Dwie były w ostatnich tygodniach sprawy, które roznamiętniały opinię szerokich mas ludności brytyjskiej: sprawa spoczynku niedzielnego, tak jak pojmowany jest w tym kraju, i zagadnienie karania przestępców w związku z egzekucją 19-letniego Bentleya.

Sprawa zniesienia przestarzałych, zdawałoby się, przepisów, dotyczących spoczynku niedzielnego i dotkliwie ograniczających swobodę obywateli, poruszana jest co parę lat, w tej czy innej postaci, w Izbie Gmin i za każdym razem presja „sabatystów" tj. zwolenników najściślejszego, po purytańsku pojmowanego, spoczynku niedzielnego doprowadza do odrzucenia wszelkich prób reformy obowiązujących ustaw i rozporządzeń. „Sabatyści" uważają, że w zasadzie przestrzegania spoczynku niedzielnego został już w wielu częściach Wielkiej Brytanii zrobiony poważny wyłom przez dopuszczenie do przedstawień kinematograficznych w niedziele. Tym bardziej bronią innych pozycji, w szczególności zakazu przedstawień teatralnych, poza tym dokładają wszelkich starań, by w niedzielnych programach radiowych i telewizyjnych jak najmniej dawano audycji rozrywkowych, w szczególności muzyki lekkiej, zdaniem ich nie licującej z powagą i skupieniem, jakie powinny być znamieniem dnia świątecznego.

Że nacisk w tym kierunku — mimo wystudzenia religijnego, jakie cechuje protestancką część społeczeństwa brytyjskiego— nie słabnie, o tym świadczy świeże odrzucenie przez Izbę Gmin wniosku posła socjalistycznego Johna Parkera o zniesienie różnych przepisów, ograniczających swobodę obywateli w niedzielę.

Parker, mający za sobą poparcie dużej części Trade Unionów, polemizował z sabatystami, utrzymującymi, że ograniczenia niedzielne sprzyjają uczęszczaniu wiernych do kościoła. Mówca podkreślił, że Anglia jest krajem, w którym ze wszystkich państw Europy zachodniej i północnej najmniejsza stosunkowo ilość osób chodzi na nabożeństwa do kościołów; tak np. w Londynie odsetek ten wynosi w niedziele mniej niż 10 % ogółu mieszkańców. Wniosek Parkera poparty został przez niektórych socjalistów i konserwatystów; przedstawiciel rządu zgłosił całkowitą neutralność w tej sprawie. Rezultat? Wniosek odrzucony został 281 głosami przeciw 57, a więc olbrzymią większością.

Na marginesie całej tej dyskusji warto zaznaczyć, że w tych krajach Eruopy, gdzie frekwencja na nabożeństwach jest bardzo duża, a więc w Polsce, Hiszpanii czy we Włoszech, teatry zawsze w niedziele były czynne i nie miało to na tę frekwencję żadnego wpływu.

Stracenie Bentleya wywołało pewnego rodzaju wstrząs w opinii publicznej, co dało asumpt „Observerowi" z dn. 1 lutego do omówienia w artykule wstępnym zagadnienia karania przestępstw w ogóle. Pismo nie atakuje decyzji ministra spraw wewnętrznych, stwierdzając, że podyktowana ona była przede wszystkim względami na trudną i niebezpieczną sytuację policjantów, uzbrojonych jedynie w pałki. „Observer" jednak przytacza wyniki doświadczeń, przeprowadzonych w innych krajach, w których kara śmierci została zniesiona. Doświadczenia te wskazują, że zniesienie kary śmierci nie przyczyniło się do powiększenia liczby zabójstw, ani ciężkich przestępstw w ogóle, w żadnym z 36 państw, które dokonały tej reformy. Zdaniem „Observera" nie ma żadnych powodów do przypuszczenia, że wyniki w W. Brytanii byłyby inne. Na początek można by było wprowadzić kilkuletni okres próbny, tak jak to proponowano w r. 1948, i dokonać obserwacji, które by pozwoliły na ostateczną decyzję w jednym lub drugim kierunku.

O NAPRAWĘ OPACTWA WESTMINSTERSKIEGO

Premier Churchill wystosował do społeczeństwa brytyjskiego apel o złożenie miliona funtów na naprawę i zabezpieczenie Opactwa Westminsterskiego, które uległo mocnym uszkodzeniom wskutek działań atmosferycznych, przede wszystkim zaś wskutek niszczących wpływów różnych składników chemicznych, zawartych w dymach Londynu.

Prasa w związku z tym przypomina, że miejsce, na którym stoi Westminster Abbey, było miejscem świętym na długo jeszcze przed tym, nim Edward Wyznawca położył w r. 1050 kamień węgielny pod budowę opactwa. Stało się ono — pisze „Sunday Times" — sanktuarium narodowym nawet dla tych, którzy „formalnie nie wyznają już chrześcijaństwa".

Dodajmy, że ludzie tacy stanowią dziś większość społeczeństwa brytyjskiego. Jedynie katolicy brytyjscy zachowali tę samą mocną wiarę, która wiele stuleci temu wzniosła ku niebu mury opactwa i jego wspaniałej świątyni.

DOBROCZYŃCA CANNES

Sławna dziś miejscowość nadmorska Cannes na Riwierze francuskiej była jeszcze do lat sześćdziesiątych ub. stulecia małą wsią rybacką. Znęcony jej pięknym położeniem osiedlił się tam znany brytyjski polityk liberalny lord Brougham: za jego przykładem zaczęli tu ściągać inni zamożni Anglicy i to spowodowało w Cannes żywy ruch budowlany. Dzięki Broughamowi, który zmarł w r. 1868, Cannes stało się modne i bogate. W dowód wdzięczności mieszkańcy miasta nazwali jeden z jego placów „Place Brougham" i wznieśli na nim statuę swego dobroczyńcy. W czasie ostatniej wojny Niemcy zniszczyli tę statuę, podobnie jak tyle innych pomników we Francji.

Pomnik lorda Broughama został obecnie odbudowany i zostanie odsłonięty w czasie „tygodnia francusko-brytyjskiego", który odbędzie się w dniach 4 — 12 kwietnia rb. Poprzednio już odbudowany został pomnik króla Edwarda VII, również częstego gościa na Riwierze francuskiej.

„LEWICOWY INTELEKTUALISTA".

P. t. „Left - Wing Intellectual" „Times Literary Supplement" poddaje wcale surowej krytyce biografię zmarłego parę lat temu prof. Harolda Laskiego, napisaną przez jego przyjaciela Kingsleya Martina, redaktora „New Statesman and Nation".

Recenzent stwierdza, że Laski wywierał na swych słuchaczy w London School of Economics duży wpływ, zwłaszcza jeśli chodzi o słuchaczy z zagranicy, Indii i kolonii brytyjskich. Był on jednak — jak sam Martin przyznaje — „pisarzem retorycznym, a nie naukowym". Brakowało mu zarówno rzeczowości, jak głębi. Pisał za dużo, za rozlewnie, nie poprawiając samego siebie, zanadto był dziennikarzem. Brak mu było czasu na pogłębienie się, gdyż miał szerokie ambicje polityczne; chciał być, używając słów p. Martina, „szarą eminencją Partii Pracy". Jednak jego sądy polityczne były przeważnie „beznadziejnie błędne"; brak mu było zmysłu politycznego w ogóle. Zawsze zwłaszcza mylił się w ocenie pobudek polityki rosyjskiej.

Od siebie dodajmy, że Laski zajmował w stosunku do Polski stanowisko wyraźnie niechętne, czemu dawał wyraz także w rozmowach. Pisał o tym swego czasu w jednym ze swych essayów Chesterton.

SUKCES FILMU MEKSYKAŃSKIEGO

Meksykanie, którzy kilka lat temu odnieśli taki tryumf w zawodach konnych na Olimpiadzie w Wembley, zaczynają wywoływać rosnący podziw swą twórczością filmową. Ostatnio entuzjastyczne pochwały zbiera w Londynie film meksykański „Maclovia", który zdobył złoty medal na zeszłorocznym festiwalu filmowym w Wenecji i wyświetlany był później na festiwalu endyburskim.

Reżyserował film Emilio Fernandez, zdjęć dokonywał Gabriel Figueroa; współpraca tych dwóch ludzi dała doskonałe wyniki.

Film rozgrywa się na wyspie jednego z jezior w środkowym Meksyku, a bohaterami jego są Indianie i biali. Główną rolę kobiecą gra nowa „gwiazda" łacińsko-amerykańska Maria Felix. Rozentuzjazmowana recenzentka „Observera", p. Lejeune daje swej notatce tytuł „Viva Mexico!". Również wyraża ona zdumienie, że w innym wielkim kinoteatrze Londynu wyświetlana jest ciężka wulgarna komedia niemiecka „The Happy Vineyard".

DYLAN THOMAS LAUREATEM.

Poeta angielski Dylan Thomas otrzymał nagrodę poetycką Williama Foyle'a w wysokości £ 250 za swe „Collected Poems, 1934-1952". Równocześnie poetka brytyjska Miss Kathleen Raine uzyskała nagrodę, ustanowioną przez American Poetry Society za zbiór „The Pythoness".

„BIBLIOTEKA POLSKA"

NOWĄ INSTYTUCJĄ EMIGRACYJNĄ

Pierwszy okres subskrypcyjny na „Bibliotekę Polską" został zamknięty z dniem 31 stycznia. Tom pierwszy „Biblioteki Polskiej" — powieść Zofii Kossak „Błogosławiona wina" wchodzi obecnie na półki księgarskie poza subskrypcją, po cenie 15/-.

Odzew społeczeństwa polskiego na obczyźnie na inicjatywę „Biblioteki Polskiej" przekroczył oczekiwania wydawców. W chwili zamknięcia obecnego numeru ŻYCIA, t.j. do dnia 3 lutego 1952 ilość przedpłat osiągnęła cyfrę 1082 (tysiąc osiemdziesiąt dwa egzemplarze). W zasadzie Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" nie przyjmuje już dalszych przedpłat na tom I „Biblioteki", uwzględniając tylko te zgłoszenia, które wysłane zostały przed dniem 31 stycznia. Są to oczywiście zgłoszenia z krajów zaoceanicznych, a więc ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii i i.

„Biblioteka Polska" zdobyła poparcie przede wszystkim wśród szerokiego społeczeństwa emigracyjnego we wszystkich krajach rozproszenia. Największa ilość zamówień poza W. Brytanią wpłynęła z Francji a w dalszej kolejności z Kanady. Po kilkadziesiąt przedpłat wpłynęło z Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Belgii, Holandii, Afryki Południowej i ze Stanów Zjednoczonych.

„Biblioteka Polska" znalazła poparcie przede wszystkim u Duchowieństwa polskiego i polonijnego. Tomiki jej zaabonowali także liczni przywódcy życia polskiego na emigracji, politycy i wojskowi.

Niektórzy wypróbowani Przyjaciele wydawnictwa zamówili po kilka egzemplarzy tej samej książki (jak n.p. ks. W. Drobina z Falkirk w Szkocji).

Od Redakcji „Słowa Polskiego" w Paryżu Katolicki Ośrodek Wydawniczy otrzymał pismo z zawiadomieniem, iż członkowie zespołu redakcyjnego i administracyjnego dziennika postanowili zaabonować indywidualnie „Bibliotekę Polską".

W ten sposób, po d w u miesiącach, dzięki wspaniałemu odzewowi polskiego społeczeństwa emigracyjnego byt „Biblioteki Polskiej" wydaje się zapewniony i ugruntowany, rokując piękne widoki dla duchu wydawniczego i pisarzy polskich.

Przedpłaty na tom II „Biblioteki", t.j. zbiór opowiadań Marii Danilewiczowej „Blisko i daleko" przyjmowane będą do końca lutego.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przesdtawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leeandro N. Alem 641 — Buenos Aires BELGIA, miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Librairie, 12, rue St Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (22) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54 Seehamersstr 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83. East 22-nd Street Bayonne, N.Y. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734